Rok II. Lwów, dnia 15 sierpnia 1896. Nr. 16.

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Antoniego Małeckiego 3.

Administracya otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

NOWE POTRZEBY.

Niejednokrotnie już zaznaczaliśmy, że działalność narodowa w dzielnicach polskich pod panowaniem pruskiem musi przybierać coraz wyraźniejszy charakter ludowy, demokratyczny, odpowiadający stopniowemu przeobrażaniu się stosunków społecznych. »Jeżeli« — pisaliśmy w numerze poprzednim — »wnikniemy w znaczenie tego procesu społecznego, który się w naszych dzielnicach zachodnich odbywa, to zrozumiemy, że zespolenie naszych interesów narodowych z obroną praw i potrzeb masy ludowej jest koniecznością polityczną, którą należy sobie zawczasu uświadomić, do której dziś już przystosowywać się trzeba powoli.«

Właściwie działalność polityczna w duchu narodowym opiera się tam już teraz niemal wyłącznie na masie ludowej.

Stosunkowo dużo w warunkach trudnych zrobiono dla uświadomienia tej masy, dla wytworzenia z niej siły politycznej, ale niewiele dla obrony i zabezpieczenia jej interesów, zwłaszcza interesów materyalnych, dla zapewnienia jej pożądanej samodzielności. To zaś, czego zbiorowemi usiłowaniami w dziedzinie spraw społeczno-ekonomicznych dokonano, dotyczyło przeważnie ludności rolnej, lub nawet tylko klasy drobnych właścicieli ziemskich. Obrona ziemi była i jest dotychczas głównem zadaniem narodowo społecznem. Niawątpliwie, jest to zadanie bardzo ważne, nie wyłącza jednak innych, niemniej doniosłych.

W sprawie rozwoju przemysłu i handlu zwracano również główną uwagę na wytworzenie klasy polskich przemysłowców i kupców, zaniedbując interesy ludności pracującej w tych zawodach.

Z powodu ostatnich wyborów (w powiecie świeckim) zauważyły niektóre pisma miejscowe, że punkt ciężkości sprawy wyborczej — my dodalibyśmy — i całej działalności politycznej, spoczywa w ludności robotniczej, głównie wiejskiej. W państwie konstytucyjnem liczba stanowi siłę, liczba rozstrzyga zwykle, a ludność żyjąca z pracy rąk swoich jest stosunkowo najliczniejszą.

Nietylko w sejmie pruskim, ale nawet w parlamencie niemieckim, do którego wybory odbywają się na zasadzie głosowania powszechnego, przedstawicielstwo polskie jest słabsze, niż być powinno w stosunku do ogólnej liczby ludności. Tak zwana »geometrya wyborcza«, t. j. ustanowiony podział na okręgi, ma w tym wypadku mniejsze znaczenie, niż zwykle sądzimy. Rezultat wyborów w wielu okręgach, w których Polacy stanowią większość mieszkańców, bywa nieraz wątpliwy. Składają się na to dwie przyczyny, mające wspólne źródło w upośledzeniu ekonomicznem ludności polskiej; jedną jest emigracya zarobkowa ludu polskiego do prowincyi niemieckich, drugą — zależność zarobkowa robotników polskich od pracodawców Niemców.

Zależność zarobkowa robotników polskich od panów niemieckich staje się coraz uciąźliwszą w stosunkach wiejskich, ma się rozumieć, pod względem politycznym. W Poznańskiem i w Prusiech Zachodnich własność ziemska polska maleje, niemiecka — wzrasta. Liczymy dokładnie, ile ziemi polskiej ubywa corocznie wskutek czynności komisyi kolonizacyjnej, ale zapominamy, że współdziałają z nią inne jeszcze instytucye i osoby prywatne. Dzisiaj już w Księstwie niemiecka własność większa zajmuje obszar znacznie rozleglejszy niż polska, w Prusiech zachodnich w niektórych powiatach po kilku zaledwie obywateli ziemskich Polaków zostało, w innych niema już ich wcale, podobnie jak na Śląsku górnym i w okolicach polskich Prus Wschodnich. Komisya kolonizacyjna, osadzając Niemców na dawnych obszarach dworskich, pozbawia ludność polską zarobku i zmusza ją do wychodztwa. Przechodzenie majątków polskich do rąk niemieckich nie odbiera wprawdzie zarobku naszej ludności, ale uzależnia ją politycznie. Wskutek ostatnich wyborów w powiecie świeckim sporo Polaków straciło zajęcie, niepodobna zaś obliczyć, ilu z obawy powstrzymało się od głosowania, a ilu głosowało na kandydata niemieckiego pod naciskiem pracodawców.

To samo powtarza się przy wszystkich wyborach zarówno do parlamentu, jak do sejmu, i nietylko w okręgach rolniczych, ale i w okręgach fabrycznych, np. na Śląsku, a nawet w miastach.

Ta zależność polityczna robotników od pracodawców zwiększać się musi w miarę ubywania własności ziemskiej polskiej. Nie zrównoważy jej przyrost właścicieli drobnych Polaków, bo ten w najlepszym razie nie jest większym od przyrostu głosów niemieckich wskutek forsowanego osadnictwa. Rozwój przemysłu polskiego, jakkolwiek niewątpliwy, zbyt jest słabym, żeby mógł skutecznie przewadze ekonomicznej żywiołu niemieckiego w sprawach politycznych przeciwdziałać.

Parcelacya majątków większych ma znaczenie doniosłe, wytwarza bowiem klasę niezależnych właścicieli drobnych i pośrednio utrudnia osadnictwo niemieckie. Ale gdyby nawet działalność w tym kierunku rozwijała się energiczniej, niż dotychczas, klasa właścicieli drobnych nie obejmie większości ludu wiejskiego, przynajmniej w bliskiej przyszłości. Własność większa przeważa w prowincyach wschodnich, a gospodarsrwa włościańskie mają często rozmiary, wymagające dodatkowej pracy najemnej. W zakresie przewidywań możliwych znaczna część ludności polskiej skazana być musi na zależność zarobkową od pracodawców.

Zresztą przeważnie rolniczy charakter dzielnic polskich (z wyjątkiem Śląska) ulega zmianie powolnej, ale wyraźniej. Ludność rolnicza w Prusiech stanowiła w r. 1890—46.55% ogółu mieszkańców, w r. 1895 już tylko 41.89%. W prowincyach wschodnich zmiana w ciągu tego pięciolecia nie była tak widoczną, ale i tam procent ludności rolniczej zmniejszył się, natomiast wzrósł procent ludności zajętej w przemyśle.

Niepotrzeba wywodów statystycznych dla stwierdzenia znanego zresztą i niezaprzeczanego faktu, że ogromna większość ludności polskiej w państwie pruskiem zdobywać musi środki do życia pracą rąk własnych. Jesteśmy wogóle społeczeństwem bardzo ubogiem w porównaniu z innymi narodami, zaś na kresach zachodnich jesteśmy, a raczej przekształcamy się pod naciskiem konieczności politycznej i ekonomicznej w społeczeństwo chłopskie i robotnicze. Szlachta, która dotychczas posiada przywilej kierownictwa politycznego i społecznego, ustępować musi ze swych stanowisk lub opuszcza je dobrowolnie, traci zarówno podstawę materyalną, jak i wpływy moralne. Z pośród ludności pracującej wydobywa się na wierzch stan średni, złożony z t. zw. przemysłowców i z kupców. Inteligencya zawodowa dziś już przeobraża się i przystosowuje do zmienionych warunków społecznych, co uwidocznia się najlepiej w prasie, która z wyjątkiem kilku pism, ma, pomimo różnicy tonu i poziomu umysłowego, wybitny charakter ludowy,

Świadomość tej zmiany stosunków społecznych staje się coraz jaśniejszą i dokładniejszą. Pierwszym jej przebłyskiem była ocena krytyczna stanowiska politycznego i społecznego szlachty, t. j. klasy właścicieli ziemskich. Z kolei uwydatniło się dążenie wytwarzającego się stanu średniego do wyzwolenia się z pod wpływu klasy panującej, do uzyskania samodzielnego przedstawicielstwa swych interesów. Ruch ludowy, który właściwie obejmował dotychczas tylko te warstwy ludności miejskiej i wiejskiej, które tworzą stan średni — drobne mieszczaństwo i drobnych właścicieli ziemskich, w rozwoju naturalnym doszedł do rozszerzenia zakresu swych dążeń i ujawnia przedwczesne jeszcze, ale uzasadnione roszczenie do kierownictwa całą działalnością narodową, do przewodnictwa politycznego wespół z inteligencyą demokratyczną. Zanim to jednak nastąpi, musi ten kierunek polityczny rozszerzyć swoją podstawę, musi oprzeć się na masie ludności pracującej, bo te warstwy i grupy społeczne, które teraz przedstawia, są do nowej roli, jaką im rozwój stosunków społecznych wyznacza, zasłabe, w dążeniach swych i interesach zbyt ograniczone i wyłączne.

Pomiędzy wytwarzającem się mieszczaństwem a masą ludności pracującej istnieje sprzeczność interesów klasowych, nie tak wyraźna jednak i nie tak ostra jeszcze, żeby wspólne działanie w sprawach politycznych a nawet społecznych czyniła niemożliwem. W Prusiech Zachodnich, na Warmii i Mazurach, nawet w Poznańskiem nie ma przemysł wielki naturalnych warunków rozwoju, ludność polska jest tam przeważnie rolniczą, interesy drobnego mieszczaństwa i drobnych właścicieli ziemskich mają wiele punktów stycznych z interesami klasy pracującej wobec wielkich właścicieli ziemskich i wielkiego kapitału. Tym bardziej powiedzieć to można o Śląsku, gdzie wielka własność i wielki kapitał znajdują się całkowicie w ręku Niemców i gnębią zarówno ludność pracującą, jak drobny przemysł i drobną własność.

Byłaby, naturalnie, naiwnem złudzeniem wiara, że taki stan rzeczy nie ulegnie zmianie w przyszłości, że sprzeczność interesów klas posiadających z pracy rąk swoich nie zaznaczy się nigdy wyraźnie w tych dzielnicach polskich. Zanim to jednak nastąpi, działanie wspólne przez czas dłuższy jest zupełnie możliwem, chociażby nawet propaganda socyalistyczna zyskiwała więcej zwolenników, niż ich obecnie zyskuje. Warunki naturalne opóźniają wytworzenie jaskrawej sprzeczności interesów klasowych, a warunki polityczne szorstkość jej objawów pośrednio łagodzą. W walce o prawa narodowe, która nadaje charakter całej działalności politycznej, stanowi jej treść główną, wszystkie warstwy ludności mają interes wspólny. Niemcy są żywiołem nietylko politycznie, ale i ekonomicznie i społecznie panującym, walka o równouprawnienie polityczne jest zarazem walką o równouprawnienie społeczne i ekonomiczne.

Okazuje się to wyraźnie w sprawie wyborczej. Zależność zarobkowa ludności polskiej od pracodawców Niemców utrudnia jej korzystanie z praw politycznych, które ma formalnie przyznane.

Zależność ta nie jest dziś tak bezwzględną, jak się z pozoru zdawać może. Obecnie jednak — powiada słusznie *Orędownik* — »nietylko robotnik zależny jest od pana na wsi, ale pan również od robotnika, więc zachodzi pytanie: czyby się stosunki nie ukształtowały inaczej, gdyby robotnik polski, świadom tej wzajemnej zależności ekonomicznej, pokazał agraryuszom niemieckim przy wyborach trochę politycznych zębów«.

Naszem zdaniem, nie ulega wątpliwości, że stosunki mogłyby się ułożyć inaczej. Właściciele ziemscy w prowincyach wschodnich Prus skarżą się na brak rąk do pracy i utyskiwaniami swemi wyjednali cofnięcie zakazu sprowadzania robotników z Królestwa i Galicyi. Dziesiątki tysięcy Polaków wędrują corocznie do Niemiec za lepszym zarobkiem. Okoliczność ta wpływa na zmniejszenie liczby głosów polskich, ale pozostającym na miejscu Polakom zapewnia większą niezależność ekonomiczną i polityczną. Robotnik może lekceważyć sobie utratę miejsca, bo względnie łatwo znajdzie, a raczej znalazłby inne, gdyby miał zapewnioną jakąkolwiek pomoc.

Dziś występuje każdy oddzielnie, pozbawiony poparcia zbiorowego. Zgadzamy się z *Orędownikiem*, że ogłoszenia w pismach o zajęciu dla 10 lub 20 ludzi, wydalonych ze służby przez Niemców za głosowanie na Polaka — to nie są nawet półśrodeczki. Ale nie sądzimy, żeby okazało się też wystarczającem »zaopatrzenie polskiego ludu roboczego w potrzebne wiadomości o dzisiejszych stosunkach zarobkowych i socyalnych«. Jest to niewątpliwie rzecz bardzo ważna, jest to podstawa wszelkiej samodzielności, ale obok uświadomienia potrzebną jest siła realna, którą dać może tylko stowarzyszenie.

Dzieje ruchu robotniczego, zwłaszcza dzieje związków zawodowych angielskich wskazują naocznie, jaką siłę dają ludności pracującej stowarzyszenia. *Trades-uniony* angielskie mogłyby dostarczyć niejednego pouczającego przykładu i wzoru. Prawodawstwo niemieckie o stowarzyszeniach jest dosyć rozciągłem i pozwala na tworzenie stowarzyszeń zawodowych różnego rodzaju, nie byłoby więc poważnych przeszkód formalnych dla działalności w tym kierunku.

Nie znamy tak dobrze ani prawodawstwa niemieckiego, ani różnorodnych stosunków miejscowych, żebyśmy mogli dawać wskazówki praktyczne. Sądzimy jednak, że stowarzyszenia polskich robotników wiejskich

i fabrycznych mogłyby istnieć i działać z pożytkiem. Istnieją już one nawet obecnie, ale zakres ich działania zbyt jest ograniczony, a charakter zbyt wyłączny. Właściwie nie powinny to być stowarzyszenia pod firmą polską lub katolicką, żeby nie nadawano im charakteru politycznego, co uniemożliwia łączenie się w większe organizacye. Mogłyby one być polskiemi, nie używając tej nazwy, gdyby miała ona utrudniać im działalność, a dopuszczanie do nich nawet pewnej liczby Niemców nie przyniosłoby żadnej szkody, gdyby prowadzone były w duchu polskim i gdyby mowa polska była w nich panującą.

Takie stowarzyszenia dawałyby należącym do nich robotnikom pomoc w potrzebie, ułatwiałyby im wyszukanie zarobku na miejscu lub wychodztwo, opiekowałyby się ich rodzinami na wypadek choroby lub śmierci. Robotnik stowarzyszony czułby się samodzielniejszym, niż jest dzisiaj i pośrednio kształciłby się politycznie, biorąc udział w życiu zbiorowem. Przy pomocy takich stowarzyszeń dopiero skutecznie odbywaćby się mogło uświadamianie ludności robotniczej, pouczanie jej o stosunkach zarobkowych i społecznych, mogłoby powstać pismo, specyalnie dla służebnej i wyrobniczej ludności wiejskiej przeznaczone, jakie chciał wydawać p. Czyżewski w Gdańsku i inne pisma, broniące jej interesów ogólno-narodowych i klasowych.

Nie będziemy wdawali się w szczegóły, w których łatwo pomylić się można, chodziło nam tylko o zwrócenie uwagi na tę sprawę, którą zająć się powinni ludzie, dokładnie ze stosunkami miejscowymi obeznani. Być może w tych nawet uwagach ogólnych, które powyżej skreśliliśmy, są pewne błędy z braku ścisłych informacyi wynikające. Nie ulega jednak, zdaniem naszem, wątpliwości, że tylko stowarzyszenia zawodowe przeciwdziałać mogą skutecznie zależności zarobkowej pracującego ludu polskiego i że w tej lub innej formie utworzenie takich stowarzyszeń nie napotka przeszkód poważnych.

Ludność polska w państwie pruskiem dowiodła niejednokrotnie, że nie brak jej zmysłu organizacyjnego i posiada już setki stowarzyszeń różnorodnych. Ale znaczna część tych stowarzyszeń ma charakter zbyt ogólny, polski lub nawet tylko katolicki. I takie są potrzebne, lecz bardziej z pewnością pożyteczne byłyby stowarzyszenia specyalne, które zresztą spełniaćby mogły obok właściwych sobie i inne zadania ogólniejsze.

Powszechnie powtarzanym ogólnikiem stało się zdanie, że stowarzyszenie daje siłę, że działalność zbiorowa jest koniecznym warunkiem dojrzałości politycznej. Warunki zewnętrzne, jeżeli nie sprzyjają, to w każdym razie nie stawiają przeszkód niezwalczonych zorganizowanej pracy społecznej w duchu narodowym. Potrzeba więc tylko świadomości i dobrej a silnej woli.

Mówimy często o jedności, jako o zasadniczem wymaganiu polityki narodowej. Jedność społeczna jest mrzonką, ale łączność społeczna jest zadaniem realnem, którego dokonać można i trzeba.

Ziemia i praca w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, praca ręczna, fizyczna — to główne podstawy bytu naszego społeczeństwa na kresach zachodnich. Zbyt jednostronnie zwróciliśmy uwagę przedewszystkiem na utrzymanie ziemi, chociaż i w tym względzie robimy mniej, niż robić można i należy. Ludność pracująca była dotychczas zaniedbaną i tylko na Śląsku zwrócili na nią uwagę ludzie, działający w duchu narodowym. Tej okoliczności zawdzięczamy niewątpliwie postęp, jaki sprawa polska w tej dzielnicy zrobiła. A przecie ta ludność, żyjąca z zarobku, z pracy rąk własnych, stanowi w naszym bilansie narodowym nietylko największą siłę liczebną, ale i poważną siłę ekonomiczną.

LUD WIEJSKI W KRÓLESTWIE KONGRESOWEM WOBEC RZĄDU I JEGO USIŁOWAŃ.

I.

Hurko i Apuchtin. Optymizm i kłamstwo urzędników rosyjskich. Lud wobec sprawy narodowej. Uwłaszczenie i jego skutki. Dwa pokolenia chłopów. Rozdrobnienie działów gruntowych i nędza ludu. Rozwianie nadziei na nowe „nadziały". Półśrodki rządowe i ich znaczenie. Milczenie prasy. Podatki.

Przed paroma laty, gdy po wstąpieniu na tron Mikołaja II Hurko wyjeżdżał z Warszawy, zwrócono uwagę na »rzewną« scenę pożegnania pomiędzy ustępującym jenerał-gubernatorem i pozostającym nadal na swem stanowisku Apuchtinem.

— »Dziękuję ci, Aleksandrze Lwowiczu, — mówił ze łzami w oczach Hurko — za wytrwałą pracę twoją nad ludem tutejszym, nad tutejszą szkołą ludową. Przy twojem współdziałaniu lud prosty, ten prawdziwy rdzeń tutejszego kraju, staje się coraz bardziej rosyjskim, coraz więcej »przenika się« przywiązaniem do tronu i do wielkiej ojczyzny rosyjskiej!«

Frazes ten, nie nowy wprawdzie, lecz przez czas jakiś zapomniany, w dobie ostatniej stał się stereotypową formułą, jedną z tych wielu, które z lubością powtarza zarówno prasa rosyjska, jak i rosyjscy działacze w Królestwie, — zaczynając od popów i komisarzy włościańskich, a kończąc na urzędnikach, nauczycielach gimnazyalnych, a nawet profesorach uniwersytetu.

Nie wdając się w ocenę, ile szczerem ze strony Rosyan jest to usilne wmawianie w siebie i w innych wiary w absolutną prawomyślność ludu polskiego, w jego bezbrzeżne zadowolenie i przywiązanie do rządu, — postaramy się spokojnie, bez uprzedzeń i ułud wyświetlić, jakiem jest obecne stanowisko ludu naszego w tej ciężkiej walce, którą toczymy dziś w zaborze rosyjskim a zagrożony nasz byt narodowy.

Smutnem niewątpliwie i nad wyraz bolesnem jest samo stawianie kwestyi powyższej. Jakto? więc można mówić osobno o ludzie polskim i o sprawie polskiej? więc sprawa narodowa u nas nie jest jednocześnie sprawą ludu? Zapewne, trzeba społeczeństwa tak nieszczęśliwego, jak nasze, żeby podobny stosunek mógł powstać. Gdyby chodziło o zagrożony byt polityczny Szwajcaryi, Francyi, Czech lub Niemiec — nie śmiałby nikt pytać o patryotyzm ludu szwajcarskiego, francuskiego, czeskiego lub niemieckiego; u nas warunki historyczne, utrata niezależnego bytu i rozbicie jedności państwowej w chwili, gdy masa ludowa, gnębiona ekonomicznie, odsunięta zupełnie od życia politycznego, nie mogła nawet rozumieć gwałtu zadanego ojczyźnie, — wszystko to wyżłobiło głęboką przepaść pomiędzy ludem a politycznie uświadomioną częścią społeczeństwa, wytworzyło niezależnie od przyczyn ogólnych, przeciwieństwa, których nie uznać byłoby bezmyślną i szkodliwą obłudą.

Rozpatrzymy kilka stron najważniejszych życia ludowego w zaborze rosyjskim, starając się wykazać, jaką w nich rząd odgrywa rolę, oraz jakie uczucia i pojęcia taktyka rządowa wywołuje wśród naszego ludu.

*

— »Lud polski jest zadowolony przedewszystkiem ze swego stanu ekonomicznego, — twierdzą publicyści rosyjscy; — uwolniony z jarzma pańszczyzny, obdarzony ziemią, czuje on niewygasłą wdzięczność dla »Cara-Oswobodziciela« i jego rządu, przeciwstawiając go dawnym rządom polskim i niewoli szlacheckiej«.

Nie ulega wątpliwości, że ukaz z 2-go marca 1864 r. — pomimo ujemnej dla nas wartości politycznej, jaką postarał mu się nadać rząd rosyjski — był najważniejszym krokiem prawodawczym, zasadniczo zmieniającym prawne i ekonomiczne stanowisko ludu. Cokolwiekbyśmy powiedzieli o genezie tego ukazu, o dawnych demokratycznych projektach stronnictw i władz polskich, o manifeście Rządu Narodowego z d. 22 stycznia, którego ukaz carski jest tylko niezdarną parafrazą, — pozostaje faktem, że rząd rosyjski uwolnił lud od pańszczyzny i uczynił go posiadaczem rolnym.

Fakt ten, zręcznie wyzyskany przez rząd i postawiony na gruncie antagonizmów klasowych względem szlachty, która uosabiać w sobie miała polskość,— bezwątpienia zadał swego czasu cios potężny naszej sprawie narodowej. Odetchnąwszy po tylowiekowej poniewierce, dostawszy grunt na własność, — chłop nie mógł nie czuć czegoś w rodzaju wdzięczności względem ręki, która obdarzyła go tem dobrodziejstwem i błogosławił ją, nie podejrzewając jej jeszcze o nieszczere intencye. Prócz nielicznych wyjątków, które, należąc do organizacyi lub powstania, rozumiały machiavelizm polityki rządowej, — całe dorosłe pokolenie włościan i drobnych mieszczan z 64 r. żyło w tej atmosferze wdzięczności, podniecanej sztucznie przez władze zapomocą przemówień, nabożeństw dziękczynnych, pomników, deputacyi i t. p. środków.

Im gorszym był w danej okolicy stan ludu za pańszczyzny, tym objawy tej wdzięczności musiały być częstsze i poważniejsze. Zresztą, chłop nasz, prędko poznawszy się na kokieteryi rządowej, umyślnie silił się na manifestowanie swej lojalności, sądząc, że mu z tem będzie lepiej.

W takiem otoczeniu niezdrowem, pełnem fałszu politycznego, przeżyło lat kilkanaście całe wymierające dziś pokolenie naszego ludu i przedstawicieli pokolenia tego dotąd jeszcze, — chociaż coraz rzadziej — można spotkać wśród ludzi starszych.

Ale po za nimi wyrosło pokolenie nowe, które brzemienia pańszczyzny już nie dźwigało na własnych barkach, które nie przeżywało przełomowej chwili ukazu z 1864 r. Jestto pokolenie przeważnie dzisiejszych gospodarzy, ludzi lat około 40-stu. Oczekiwać od nich tej żywości uczucia, jakiem mogli być przejęci ich ojcowie, byłoby czemś, nie dającem się usprawiedliwić. Już to samo, nie licząc się nawet z koniecznym wzrostem krytycyzmu w masach ludowych, musiało wpłynąć na obniżenie tej skali uczuć lojalnych, jaka mogła ożywiać ich ojców.

Znalazły się wszakże i inne, potężniejsze czynniki. Wiadomo, że w r. 1864 włościanie w Królestwie otrzymali dość znaczne nadziały, po 12—18 morgów, a nierzadko po morgów 30 i wyżej. Były to w każdym razie osady przeważnie wystarczające do zagospodarowania się i znośnego życia.

Aliści, po latach kilkunastu, w miarę wzrostu ludności, gospodarstwa te musiały się uszczuplać, — i dziś, po upływie lat 32, prawie w całem Królestwie nastąpił taki rozkład tej drobnej własności chłopskiej, że dawnych »całych« osad ledwie doszukać się można. Na osadach »ukazowych« 18-sto morgowych powstały dziś wszędzie po 2 i 3 gospodarstwa. Wobec prawem zastrzeżonej niepodzielności osad poniżej siedmiu morgów, częstokroć po kilka młodych rodzin siedzi razem na »numerze« liczącym 6 do 8 morgów, budując sobie zazwyczaj osobne chaty, oddzielając się płotami i miedzami. Dawna idylla zamożnego gospodarza »ukazowego« zanika coraz bardziej, ustępując miejsca nędzy małorolnego biedaka, — 2 miliony zaś zupełnie bezrolnego proletaryatu, którego ani miasta, pochłonąć nie są w stanie, ani dwory, coraz biedniejsze i rzadsze, utrzymać — są najwyraźniejszym objawem ekonomicznej »pomyślności« naszego ludu.

Wierzyć w niewygasłą wdzięczność bezrolnego lub paromorgowego proletaryusza za »nadanie« (?) przed laty jego ojcu lub dziadowi kilkunastu morgów — jest co najmniej fantastycznem złudzeniem. Przeciwnie nawet, pamiętając tradycyą »nadziału« z r. 1864, ten zgłodniały proletaryusz dzisiejszy zaczął objawiać głośno chęć nowego obdarowania ziemią: — »Dał ojciec naszym ojcom, niech da syn i nam!« — mówiono powszechnie po wsiach przy wstąpieniu na tron Aleksandra III.

Pamiętam, urzędowałem wówczas nad Bugiem, w okolicy zaludnionej napoły przez Polaków, napoły przez Rusinów. Już od wiosny r. 1881 dał się zauważyć dziwny niepokój pomiędzy ludnością: szeptano coś tajemniczo po kątach, zbierano się po chałupach i karczmach. Ni stąd ni zowąd zaczęli włościanie zrywać układy o serwitnty, które były już na ukończeniu. To samo objawiło się w całem Królestwie, jakoteż w wielu okolicach Cesarstwa. Widziano w tem podmuchy socyalistów, nihilistów i t. p., nic podobnego wszakże nie miało miejsca. Przyczyną tego niepokoju była jedynie nadzieja nowego nadziału.

Odpowiedzią na te nadzieje młodego pokolenia była znana mowa Aleksandra III do wójtów podczas koronacyi w Moskwie: »Tylko źli ludzie mogą wam mówić o nowym podziale gruntów pańskich. Wiedzcie o tem raz na zawsze, że żadnych więcej nadziałów nie będzie«. Że taka stanowcza zapowiedź monarsza nie mogła wpłynąć na powiększenie zadowolenia włościan, to pewna; świeże zaś powtórzenie przy »świętej« koronacyi tych samych słów »niezapomnianego rodzica« przez nowego cara — jest na szczęście ostatecznem potarganiem tego węzła, jaki zadzierzgnął był pomiędzy rządem rosyjskiem a ludem naszym ukaz z r. 64-go.

Ratując zachwianą w tym względzie równowagę, rząd zakłada banki włościańskie, przy manifestach dość hojnie umarza zaległości i t. d., są to jednak liche paliatywy, które nie mogą skutecznie przeciwdziałać takiemu potężnemu zjawisku ekonomicznemu, jakiem jest rozdrabnianie i zupełne wymykanie się gruntów z rąk ludu — a więc i rosnącemu stąd niezadowoleniu. Zresztą u nas taki bank włościański, pomimo wszelkich starań władzy, nie może mieć poważnego znaczenia, — raz dlatego, że operacye jego są rzeczywiście minimalne, a powtóre — jak wszystko, co pochodzi od rządu, nie ma on wśród ludu szczególnego miru. Biorą ludzie pożyczki bankowe z pewną obawą, podejrzewając rząd o podstęp lub wprost oskarżając go o zdzierstwo. Należy przytem nadmienić, że żadne podjudzania nie są już wstanie rozbudzić szerszego antagonizmu włościan-gospodarzy przeciw szlachcie. Może się to dziwnem wydać, ale często daje się słyszeć wśród włościan ubolewanie nad upadkiem gospodarstw dworskich, — co prawda, zazwyczaj wyrażone w następującej, wyraźnie egoistycznej formie: »zniszczył Moskal szlachtę, teraz zabrał się do nas — chłopów«.

Mogą sobie optymiści lub gadzinowcy rosyjscy deklamować, co chcą, o zadowoleniu ludu naszego ze swego położenia ekonomicznego: tymczasem położenie to staje się z każdym dniem coraz gorszem, bieda rośnie gwałtownie, a co ważniejsza, rośnie też świadomość tej biedy wśród ludu oraz przekonanie, że jedną z przyczyn tego jest postępowanie rządu rosyjskiego względem nas. Sztuczne obniżenie cen naszego zboża i innych produktów zapomocą taryf strefowych i różniczkowych, zalewanie rynków naszych towarem rosyjskim, sprowadzanie chłopów wielkoruskich do robót publicznych, pośrednie protegowanie żydów, brak wszelkiego poparcia dla instytucyi kredytowych włościańskich, odmawianie pozwoleń na towarzystwa pożyczkowe, jakie zakładają się w całej Rosyi, zabranianie wszelkich stowarzyszeń rolniczych i przemysłowych dla włościan i drobnych mieszczan: oto szereg najwymowniejszych objawów tamowania przez rząd rosyjski wszelkiej ekonomicznej inicyatywy wśród naszego ludu i przeszkadzania wzrostowi jego dobrobytu. — objawów, doskonale przez lud pojmowanych. To też nie masz zakątka, gdzieby nie rozlegało się sarkanie, narzekania na rosnącą wciąż biedę i coraz gorsze czasy. Narzeka rolnik drobny, zmuszony za bezcen sprzedawać swoje zboże; sarka drobny rzemieślnik i kupiec, a robotnik fabryczny organizuje się w coraz potężniejsze związki socyalistyczne.

W prasie tylko o tem wszystkiem cicho, bo przy obecnej cenzurze, tak w warszawskiej, jak w prowincyonalnej, nie wolno pisać dla ludu nawet o tem, że grad wytłukł rolnikom zboże lub powódź zabrała siano: i takie bowiem fakty mogą budzić niezadowolenie, a w »prywiślańskim kraju«, tym szczególną opieką białego cara cieszącym się dziale »wielkiej ruskiej ojczyzny«, lud musi być zawsze zadowolony i pełen wdzięczności za doznawane dobrodziejstwa...

Drugą — wszędzie i zawsze drażliwą — stroną stosunków ekonomicznych ludu są — podatki. Jak wiadomo, podatek pieniężny, oddawany wprost rządowi, istnieje dla ludu u nas dopiero od r. 64-go. Przyzwyczajony do tego, że dawniej pan wszelkie ciężary bezpośrednio opłacał, włościanin nasz dotąd nie może przyzwyczaić się do tego, normalnego zresztą wszędzie, oddawania rządowi ciężko zapracowanego grosza z własnej kalety. Trzeba mieszkać na wsi, żeby widzieć, z jaką niechęcią jest widziana sama myśl płacenia podatku, jak nielubianym jest nawet własny sołtys, za to tylko, że jest poborcą podatków.

Do pogorszenia stosunków przyczynia się jeszcze i to, że wogóle skala bezpośrednich opłat w Królestwie jest względnie bardzo wysoka, a następnie, że z każdym prawie rokiem stale się powiększa. Normą podatku u nas prawie wszędzie jest półtora do dwóch rubli z morga rocznie. Dla gospodarstwa 10-cio morgowego wynosiło to 15 do 20 rubli na rok, to jest co najmniej 10—15% dochodu gotówkowego *brutto*. A gdzież są jeszcze podatki pośrednie, w postaci akcyzy od tytoniu, spirytusu, soli, nafty i t. p. Dziwić się należy wytrzymałości ekonomicznej chłopa polskiego, który musi dobrze głową nakręcić, żeby podatek zapłacić, a jednak płaci go i to znacznie akuratniej, aniżeli lud rosyjski, dla którego skala podatkowa jest o wiele mniejszą.

Zapewne, że pod jakimkolwiek rządem podatki wywołują zawsze niezadowolenie ludności; ale u nas, wobec rządów rosyjskich, niezadowolenie to musi z nienawiścią się kojarzyć, co też pozwolimy sobie zapisać na naszą korzyść w tym szkicowym obrachunku.

S. K.

OŚWIATA LUDU W GALICYI.

Czytelnie ludowe.

II.

(Ciąg dalszy).

Nastąpił w dziejach krakowskiej »Oświaty ludowej« okres błogiego spokoju i niczem nie zamącanej ciszy, która rozwojowi Towarzystwa zdawała się sprzyjać. Biskup nietylko gniewać się przestał, ale przyjął nawet ofiarowany mu przez walne zgromadzenie członków dnia 3 czerwca 1885 r. protektorat nad instytucyą, a z nim oczywiście obowiązek gorliwego popierania jej celów. Ci, dla których przeszłość Towarzystwa była nie dość »katolicką«, a zanadto »czerwoną«, mieli obecnie sposobność świetnego popisu. Zostawiono im wolne pole z pełną swobodą działania, oddano im warsztat, nadający się doskonale do »pracy organicznej«. Wprawdzie od chwili, kiedy skrzywiwszy myśl przewodnią instytucyi, rzucono ją na zwodnicze fale partyjnych odmętów, nie mogło już być mowy o prawdziwie kulturalnem spełnianiu jej zadań, należało się jednak spodziewać, że stronnictwo »ładu i porządku«, opanowawszy tak łatwym sposobem ważny posterunek, poczuciem honoru bodaj wiedzione, szczerze Towarzystwem się zajmie, otoczy je troskliwą pieczą, oprze na trwałych podstawach materyalnych i wydatną pracą starać się będzie przynajmniej upozorować rzekomą swą życzliwość dla ludu. Niestety i te nadzieje zawiodły, a okres kilkunastoletniej konserwatywno wyznaniowej gospodarki w Towarzystwie krakowskiem dostarczył aż nadto dowodów, że pojęcie galicyjskiego konserwatysty *vulgo* Stańczyka z pojęciem ofiarności i pracy obywatelsko-społecznej prawie że trudniej jeszcze pogodzić, niż ogień z wodą. Prawda, nie minął ten szereg lat bezowocnie, rozwój Towarzystwa w cyfrach przedstawia się, ostatniemi czasy zwłaszcza, coraz to poważniej, działalność jego w rozmaitych obraca się kierunkach, jest nawet ruchliwszą i skuteczniejszą, niż w innych, podobnych instytucyach, wszystko to jednak, co dotąd zrobiono dobrego, najpierw jest śmiesznie drobnem wobec środków, jakie Towarzystwu dać mogli i powinni byli jego nowi, duchowni i świeccy protektorowie, rozporządzający wpływami i groszem, powtóre zaś nie może być żadną miarą poczytane za zasługę stronnictwu, które samo najmniej się do tych względnie wielkich sukcesów przyczyniło. Podporą instytucyi pozostały, jak dawniej, żywioły na ogół wcale nie stańczykowskie: nieznaczna garstka inteligencyi miejskiej, nauczyciele ludowi, księża po wsiach. Liczba członków, pomimo gorących nawoływań i odezw, utrzymuje się stale na wstydliwie niskim poziomie cyfry pięciuset. Przybywają nowi, ustępują dawni, tych wszakże, którym stosunkowo najłatwiej wesprzeć instytucyę, których to moralnym obowiązkiem ze względu na »wyższe« stanowiska, jakie w społeczeństwie zajmują, napróżnobyś szukał między członkami. W r. 1889 obudziło się na chwilę jakieś współczucie »dobrze urodzonych« dla oświaty ludowej. »Napawa nas otuchą — pisze Wydział w sprawozdaniu — uchwała popierania naszych celów, powzięta przez Koło sejmowych posłów konserwatywnych i przystąpienie pewnej ich liczby na stałych członków Towarzystwa oświaty, a nawet oświadczenie gotowości podjęcia się na prowincyi czynnej pomocy«. To *lucidum intervallum* jednak nie trwało długo. Szeroka akcya prowincyonalna nie wyszła ze sfery mglistych pomysłów, a szumnie reklamowane poparcie

skończyło się na jednorazowej, z łaski rzuconej, nieznacznej stosunkowo jałmużnie. »Dwory po największej części zachowują się wobec czytelni naszych obojętnie«, ubolewał Wydział jeszcze kilka lat temu; — czy dziś w tym względzie zaszła zmiana jaka na lepsze, niewiadomo, — w sprawozdaniach głuche o tem milczenie.

Szczegóły powyższe dość chyba wymownie świadczą o obywatelskiem zwyrodnieniu tej warstwy społecznej, która w politycznem życiu Galicyi odddawna ster dzierży i ciągle jeszcze rości sobie tytuł do tego przywileju, aczkolwiek niczem właściwie, ani ofiarnością ani pracą dosługiwać się go nie chce. Mimowoli przychodzą na myśl słowa, raz gdzieś w żarcie wypowiedziane, że w Galicyi nie dość pracować nad oświatą i uobywateleniem chłopa i robotnika, lecz należałoby te zbawienne usiłowania rozciągnąć także na szlachtę. Kiepski żart, być może, ale mieści się w nim niewątpliwie spora szczypta gorzkiej prawdy i temat do poważnych refleksyj....

Przechodząc do właściwej działalności Towarzystwa, przedewszystkiem pomówić wypada o czytelniach ludowych, których zakładanie i utrzymywanie jest głównym jego celem. Czytelni tych odróżnić można cztery kategorye: wiejskie, górują liczbą ponad wszystkiemi innemi i tworzą typ najbardziej rozpowszechniony; obok nich powołano do życia w znacznie mniejszej liczbie podobne instytucye dla ludności miejskiej i małomiasteczkowej, założono dalej kilka specyalnych czytelni i bezpłatnych wypożyczalni przy pewnych zakładach, korporacyach i stowarzyszeniach, jak szpitale, więzienia, bractwa, stowarzyszenia rękodzielnicze i t. d., wreszcie czyniono również próby do pewnego stopnia pomyślne z t. zw. wypożyczalniami ruchomemi, które odznaczają się tem, że przeznaczone są dla większego koła osób, pochodzących z kilku lub kilkunastu niezbyt od siebie odległych miejscowości. Wiejskie czytelnie krakowskiego Towarzystwa oświaty ludowej rozsiane są dziś już po całej zachodniej Galicyi. W myśl zawartego w r. 1884 układu z Towarzystwem Kółek rolniczych, obie instytucye w praktycznem działaniu wspierają się wzajemnie: »Oświata« zakłada czytelnie z reguły w tych gminach, gdzie kółka rolnicze istnieją i na odwrót przy każdej już istniejącej czytelni powstaje niebawem »Kółko«. Ścisły ten związek utrzymuje się do obecnej chwili z pożytkiem, zdaje się, obustronnym.

Liczba czytelni i bezpłatnych wypożyczalni, które byt swój zawdzięczają krakowskiej »Oświacie«, wynosiła po koniec 1893 roku 29. W następnym — podczas znanych zajść z konsystorzem biskupim, — przybywa nowych zaledwie 7, w dalszych dopiero latach stopniowo coraz to więcej. Po dziesięcioletniem istnieniu Towarzystwa (r. 1892) było ich ogółem 512, w latach 1893 i 1894 powstaje nowych 122, obecnie przypuszczać można (ostatniego sprawozdania nie ogłoszono jeszcze drukiem), że łączna ich suma urosła już do poważnej cyfry 700.

Czytelnie i wypożyczalnie posiadają zazwyczaj trojakie środki działania. Są nimi: dobra książka, wypożyczana bezpłatnie do domu, gazetka ludowa, z której czyta się głośno artykuły w lokalu czytelni, a która następnie obiega z rąk do rąk po całej wsi, wreszcie popularny odczyt lub pogadanka w tymże lokalu, urządzane przez kierowników czytelni przy sposobności zwykle wspólnego, głośnego czytania książek lub gazetek.

Wydział Towarzystwa obowiązany jest każdą czytelnię w chwili jej założenia zaopatrzyć w odpowiednią liczbę książek i tak samo zasilać je później stale, peryodycznie, w miarę zapotrzebowania i rozwoju, który też najczęściej zależy od obfitości tych zasiłków i ich wewnętrznej wartości. Nie wchodzimy na razie w kwestyę doboru strawy duchowej, jaką Towarzystwo czytelniom swym podaje, nie zajmujemy się w tej chwili bliższą oceną tych książek pod względem treści, ani nie odpowiadamy wprost na pytanie, czy wybór ich w każdym szczegółowym przypadku jest szczęśliwy i czy nie mógłby być lepszym. Wystarczy nadmienić, że są to przeważnie tanie wydawnictwa Macierzy polskiej, lwowskiego komitetu wydawnictwa dziełek ludowych, galicyjskiego Towarzystwa pedagogicznego, nadto kilka popularnych wydawnictw poznańskich i warszawskich. Treść książek bardzo różnorodna. W drukowanych katalogach Towarzystwa figuruje najwięcej utworów powieściowych, obfite stosunkowo są rubryki, obejmujące dziełka treści religijnej historycznej i gospodarskiej, najskromniej przedstawia się dział przyrodniczy i »spraw społecznych«. Osobna komisya, z łona Wydziału wybrana, ocenia każde dziełko z osobna, ze względu na treść i tendencyę, a na tej podstawie sprawozdania zapewniają, że »niema żadnej obawy, aby jakakolwiek nieodpowiednia, tem mniej szkodliwa książka dostała się za pośrednictwem czytelni do rąk ludności«.

Od początku istnienia Towarzystwa po koniec maja ubiegłego roku rozdano własnym czytelniom około 100 000 książeczek, nadto wysłano ich rozmaitemi czasy ogółem kilka tysięcy do innych czytelni w kraju, na Śląsk pruski i austryacki, koloniom polskim w Ameryce, Afryce i po miastach niemieckich. Wysokość tych cyfr może na pierwszy rzut oka zaimponować, zmaleją one atoli, skoro się je rozłoży na liczbę istniejących w kraju czytelni, — w takim razie bowiem wypadnie przeciętnie na każdą czytelnię zaledwie po sto kilkadziesiąt dziełek, a w rzeczywistości mniej jeszcze, gdy się uwzględni, że znaczna ich część przez ciągłe wypożyczanie zupełnemu podległa zużyciu i z obiegu wyjść musiała. Zważywszy dalej, że przeciętna liczba wypożyczających — według sprawozdań wydziału — wynosi około 160 osób, a rzeczywistych czytelników bywa bez porównania więcej, dochodzimy do wniosku, że obecne uposażenie czytelni ludowych jest stanowczo za słabe i faktycznym potrzebom ludu nie czyni wcale zadość. Przyznaje to zresztą i Wydział, a stwierdzają niemal wszystkie sprawozdania kierowników, żądające usilnie nowych zapasów książek, dowodzące zupełnej niedostateczności dzisiejszych biblioteczek. Chęć czytania, raz rozbudzona, wzmaga się z każdym rokiem, a w braku nowych, te same książki często kilkakrotnie przechodzą przez ręce dawnych czytelników. Nietylko jednak ogólna liczba dziełek jest niewystarczającą z powodu stałego zwiększania się popytu na pokarm umysłowy, ale, na co również trzeba zwrócić uwagę, treść ich z biegiem czasu przestaje zadawalniać bardziej inteligentnych włościan, wyrabia się w nich smak coraz to wybredniejszy i szerszy zakres pojęć, zaczynają domagać się już po kilku latach czytania, książek poważniejszych, dzieł większych, takich, jakie znajdujemy w księgozbiorach publicznych, przeznaczonych do użytku t. zw. klas oświeconych. Bardzo trafnie donoszą kierownicy kilku czytelni, że tworzą się w nich po pewnym czasie dwie kategorye czytelników: pierwszym wystarczają książeczki dotychczasowe, drugim potrzeba lepszych rzeczy. Te »lepsze« rzeczy są oczywiście i droższe, a wobec tego, że przyjęto w Towarzystwie zasadę obdarowywania (w dosłownem znaczeniu) czytelń książkami przez Wydział, — sprowadzanie ich kosztem czy-

telników dotąd wyjątkowo się zdarza, — i wobec chronicznego braku funduszów nawet na dostateczne zasilanie rzeczami »gorszemi«, nie dziw, że coraz to częściej słychać skargi na opłakany stan biblioteczek, na wzmagającą się dla nich obojętność ludu tam nawet, gdzie do niedawna jeszcze czytelnia powszechne budziła zajęcie.

Zbyt wielkie stosunkowo kwoty pochłania prenumerata peryodycznych czasopism ludowych, którą Wydział również z funduszów instytucyi uważa za stosowne pokrywać. W r. 1892 n. p. wydano za 595 egzemplarzy rozmaitych pisemek 1296 złr., czyli prawie połowę ceny kupna książek, w tym samym czasie nabytych i rozesłanych. Jestto stosunek niewłaściwy, a wydatek naszem zdaniem wcale niepotrzebny. Później jeszcze wrócimy do tego przedmiotu, tu tylko pozwolimy sobie zauważyć, że czytelnie nic by na tem nie straciły, przeciwnie, wieleby mogły zyskać, gdyby Wydział z budżetu Towarzystwa rubrykę czasopism zupełnie wykreślił i zaoszczędzone na niej fundusze obracał na obfitsze zakupna książek, zwłaszcza tych »lepszych«. Zyskałaby niemniej powaga instytucyi, odpadłby bowiem jeden z głównych zarzutów stronniczości i narzucania ludowi wbrew jego woli pewnych, z góry za »dobre« (!) uznanych piśmideł, które, jak osławionej pamięci „*Krakus*“, nic wspólnego z oświatą ludu nie mają.

Z ogółu czytelni przez krakowskie Towarzystwo »Oświaty ludowej« założonych, około 80% rozwija się pomyślnie. Tak przynajmniej czytamy w sprawozdaniach Wydziału, który wiadomości swe czerpie przedewszystkiem z szczegółowych relacyj kierowników czytelni, a po części z dokonywanych od czasu do czasu lustracyi. Pierwsze niewątpliwie grzeszą nieraz przesadą i mimowolnym brakiem umiarkowania, jako rezultat optymistycznego poglądu kierowników na dzieło własnych ich starań, drugie nie mogą być również arcydokładnym probierzem właściwego stanu czytelni, kontrolowanych pobieżnie i przypadkowo. Gdybyśmy jednak mogli przyjąć jako pewnik, że bodaj połowa tych wiejskich ognisk oświaty rozwija się normalnie i naprawdę zadaniu swemu odpowiada, to i tak jeszcze działalność instytucyi stanęłaby w świetle nader korzystnem. Zasługa w tej mierze, rzetelnego uznania godna, przypada w największym udziale kierownikom, którzy dobrowolnie na siebie przyjęte obowiązki spełniają bezinteresownie, z prawdziwem nieraz zaparciem się i poświęceniem.

Powodzenie i rozwój czytelni zależy w znacznej części od osobistych przymiotów tego, który nią zarządza, zbawienny jej wpływ jest przeważnie owocem pracy kierownika, z reguły nauczyciela lub księdza. I zaiste podziwiać trzeba tę wielką siłę woli, ten zapał gorący i miłość ludu u naszych nauczycieli wiejskich, którzy mimo ciężkiej zawodowej pracy, jak wiadomo nędznie wynagradzanej, znajdują jeszcze dość sił i czasu na zajmowanie się sprawami czytelni, wypożyczanie książek, urządzanie — gdzieniegdzie stałe i systematyczne — odczytów, wykładów i pogadanek z najrozmaitszych dziedzin wiedzy.

Sporo zajmującego materyału zawierają raporty kierowników, streszczane w dorocznych sprawozdaniach Towarzystwa. Są one niejako kluczem, otwierającym wnętrze czytelni, dają wyobrażenie o ruchu, jaki tam panuje, o wpływie, wywieranym przez oświatę na lud. Wyjmujemy z tych relacyj kilka ogólniejszych natury spostrzeżeń. Chęć czytania jest wszędzie bardzo powszechna. W paru gminach okazała się tak wielka, że ją »starszyzna musi miarkować«. Starsze pokolenie czytuje mniej, głównie dla tego, że czytać nie umie, z wielkim zapałem natomiast garnie się do książki dorastająca młodzież i młodsi gospodarze. W niektórych okolicach kobiety czytają chętniej niż mężczyźni, w innych ciągłe zajęcia domowe przeszkadzają niewiastom. Starsi, nieumiejący czytać, chętnie jednak słuchają czytanego słowa, to też zwyczajnie, wieczorami lub w święta, dzieci ze szkoły odczytują na głos książkę dla wszystkich mieszkańców chaty. Zwyczaj wspólnego czytania jest w wielu okolicach bardzo rozpowszechniony, rośnie przez to ogromnie liczba osób korzystających, pośrednio czy bezpośrednio, z czytelni. Czasami jednak lud odnosi się do czytelni z nieufnością, boi się jej i stroni. Zwykle trwa to krótki czas, dopóki nie ustali się przekonanie, że ani na gminę, ani na czytelników nie spada z tego powodu żaden ciężar. Niejednokrotnie znów zdarza się, że z czytelni korzystają też wsie sąsiednie i okoliczne.

W wyborze książek dają się spostrzegać charakterystyczne różnice, zależne od czasu trwania czytelni, od stopnia inteligencyi miejscowej ludności i t. p. Rzeczy łatwiejsze do zrozumienia, przemawiające silniej do wyobraźni dziełka treści religijnej, historyczne, powieści, cieszą się zrazu większym popytem, upodobanie do książek gospodarczych i naukowych później dopiero się zjawia. Gra w tem do pewnego stopnia rolę także właściwa praktycznemu chłopu zarozumiałość, lekceważąca książkową naukę gospodarstwa. Dziełko chętnie on przeczyta, bo go to bawi, zadufany jednak w własną umiejętność gospodarzenia, wyraża się z przekąsem o przeczytanych wskazówkach i radach, traktuje je z góry. Powaga książki rośnie dopiero wtedy, gdy ten lub ów »śmielszej natury« zdecyduje się zastosować rzecz przeczytaną i gdy próbę uwieńczy pomyślny skutek. Od tej chwili »pryskają przesądy, światło ćmiące«, budzi się zaufanie do książek, usilne korzystanie z nich staje się potrzebą.

Pomimo wcale nie idealnego urządzenia czytelni krakowskiej »Oświaty«, pomimo lichego ich uposażenia i niezupełnie zdrowej atmosfery, jaka tchnie w górnych sferach Towarzystwa, ogólny wpływ ich na lud wiejski jest bezsprzecznie dodatni, — znowu głównie i przedewszystkiem dzięki gorliwej pracy kierowników. Zbawienne skutki oddziaływania czytelni objawiają się w najrozmaitszych kierunkach, a peryodyczne sprawozdania przepełnione są wzmiankami o tych pomyślnych objawach zarówno pod względem ogólnocywilizacyjnym i narodowym, jak religijnym i moralnym, ekonomicznym wreszcie i społecznym. Zapisujemy ciekawsze uwagi. Budzenie się poczucia polskości i ducha patryotycznego spostrzegać się daje wszędzie w większym lub mniejszym stopniu. W powiatach, najdalej wysuniętych na zachód i narażonych na wpływy germanizacyjne, czytelnie mają szczególnie ważne zadanie, poprawiają zepsuty język, utrzymują świadomość narodową. W gminach słynących z hulanek, pijaństwa i rozbojów »uwidocznia się poprawa ludu w kierunku moralnym, wyrabia się poczucie wzajemnej pomocy i uszanowania cudzej własności«,.... »parobcy, zamiast iść do karczmy, ciągną do czytelni w niedzielę i święta, ślubowanie od wódki rozwija się w całej pełni«. Nierzadkie są wypadki, że żyd karczmarz wynosi się ze wsi, przeklinając czytelnię, która go pozbawiła zarobku. W powiecie nowosądeckim zauważono stopniowe zmniejszanie się liczby przestępców, od kiedy tam czytelnie zaczęły powstawać. »Przed siedmiu laty jeszcze — czytamy w sprawozdaniu za rok 1890 — zimową porą bywało tu w domu kar-

nym do 400 więźniów, w ubiegłym tylko 216, obecnie jeszcze mniej«. Czytelniom także do pewnego stopnia zawdzięczać można, że w wielu wsiach ustaje zakorzenione pieniactwo, a dla rozsądzania sporów miejscowych tworzą się gminne sądy rozjemcze. Z kilku stron zgodnie donoszą o skutecznym wpływie książek na wyleczenie się z nałogu gry w karty i w loteryę liczbową. Do mniej pożądanych objawów, które również czytelniom sprawozdania przypisują, zaliczyć należy niepotrzebne naśladownictwo obcych naleciałości i nawyczek, jak n. p. zapraszanie się włościan na wesela za biletami, co zauważono w powiatach krakowskim i gorlickim. Nakoniec pod względem ekonomicznym nader liczne przykłady stwierdzają, że gdzie istnieje czytelnia dobrze zorganizowana, tam po kilku latach podnosi się chów bydła i uprawa roli, zakwita pszczelnictwo i sadownictwo, a kółko rolnicze i sklepik chrześcijański zapewnione mają powodzenie. *Zawisza.*

(C. d. n.)

SPRAWA KROŻAŃSKA W OŚWIETLENIU DOKUMENTÓW.

IV.

W rozpatrywaniu sprawy krożańskiej można zajmować dwojakie stanowisko: ludzkie i rosyjsko-państwowe.

Oceniając rzecz z pierwszego, należałoby otoczyć największą czcią ofiary zbrodni, czcią, na którą ci prości ludzie zasłużyli nietylko męczeństwem, ale i nieznaną w dzisiejszych czasach siłą wiary, przywiązaniem do niej, energią i poświęceniem; co do Klingenberga, to tego należałoby ukarać, jako najzwyczajniejszego zbrodniarza.

Naturalnie, nie możemy od rządu rosyjskiego wymagać, ażeby tak się na tę sprawę zapatrywał. — Przeciwnie, chcąc właściwie postępowanie wyższych władz rosyjskich ocenić, sami powinniśmy zrobić wysiłek i sprobować spojrzeć na rzecz tak, jakbyśmy mieli na widoku interesy państwa rosyjskiego. Z tego stanowiska będzie nam łatwo zrozumieć, iż po tak srogiej karze, jaka spotkała opierającą się ludność, pociągnięto jeszcze ofiary pod sąd, każde bowiem państwo ma w swoim kodeksie kary za opór władzy, i we wszelkich wypadkach takiego oporu musi je wymierzać legalnie, przez sąd. Inaczej nie byłoby porządku, zapanowałaby anarchia. Nie będziemy się także dziwili, że pod sąd pociągnięto ludzi, przeważnie mniej winnych, ale nie uszkodzonych fizycznie, bo pokazywać publicznie ofiary okrucieństwa przedstawicieli władzy musi tylko ten rząd, który nie ma możności podobnych faktów ukryć—w Rosyi zaś urzędownie można wszystko ukryć, wszystkiemu zaprzeczyć, niema bowiem wolnego głosu opinii publicznej, któryby urzędowym oświadczeniom kłam zadał; dziwić by się też raczej należało, gdyby rząd rosyjski, mając możność urzędowego zaprzeczenia dzikim gwałtom, z możności tej nie skorzystał. Również łatwo zrozumieć, dlaczego wymierzywszy zgodnie z kodeksem surową karę, przedstawiono oskarżonych do łaski carskiej, zwalniającej od kary wszystkich, z wyjątkiem czterech, którzy ważną rolę w zajściu odegrali, a którym karę sprowadzono do roku więzienia. Rząd, czując się silnie skompromitowanym wobec całego cywilizowanego świata, popierwsze wywołaniem zajścia przez swe barbarzyńskie prześladowanie katolicyzmu, zamykanie kościołów i t. p., powtóre sposobem zgniecenia oporu, w którym się objawiła cała azyatycka dzikość Rosyi, widząc, że cała sprawa stała się głośną i wywarła fatalne wrażenie, musiał się postarać to wrażenie zatrzeć, tym bardziej, że surowość kar nie była potrzebna dla postrachu na przyszłość, że aż nadto w tym względzie wystarczył sposób uśmierzenia buntu przez Klingenberga. Rząd rozumiał wybornie, że w tym wypadku przedstawiciele jego ogromnie zawinili, że sprawie rosyjskiej nawet wyświadczyli ogromną krzywdę, i musiał starać się choć w części naprawić zło, wynikające ze sprawy dla państwa. Interesującym wyrazem tego poglądu jest list prezesa Izby sądowej, Stadolskiego, do ministra sprawiedliwości [1]. Oto jego część najważniejsza:

»Pomimo, że obecność przy badaniu sądowem jenerał- gubernatora, który prawie cały czas był przytomny w sali posiedzeń, oczywiście krępowała świadków wogóle, a urzędników policyjnych w szczególności, to jednak stanowczo się wykryły tak okoliczności, poprzedzające katastrofę w nocy z 9 na 10 listopada r. 1893, które wymienione zostały w orzeczeniu Izby, jako też i to, że gubernator kowieński Klingenberg, wskutek doniesienia policji wezwawszy do m. Kroż, na godzinę 8 rano 10 listopada, trzy sotnie kozaków, po dwuletniem niemal ociąganiu się z zamknięciem kościoła przy skasowanym klasztorze Benedyktynek, mimo to uznał za właściwe o drugiej godzinie w nocy przystąpić nareszcie do tego zamknięcia.

»Podniecany ubocznymi wpływami, tudzież przejęty nadzieją z powodu poprzednich, bardziej niż chwiejnych kroków władzy, ciemny a fanatycznie religijny tłum spotkał gubernatora u progu swej świątyni z najświętszymi, jakie tylko wyobraźnia dać może, emblematami: z krzyżem i portretami Ich Ces. Mości. Rzecz oczywista, iż tłum sądził, że przez takie świętości żadna władza przejść się nie odważy; tymczasem gubernator, nie tylko że wszedł do kościoła, i to gwałtem, lecz nadto przez strażników nahajami wypędził z kościoła wszystek będący w nim a modlący się lud.

»Bardzo naturalna, że to spowodowało wybuch powszechnego oburzenia, które doszło do szaleństwa, tak iż tłum, wyłamawszy drzwi kościelne, zabarykadowane z rozkazu gubernatora, omal że się nie wdarł na chór, gdzie szukał ocalenia gubernator w otoczeniu księży i urzędników policyjnych. Tłum wymagał od niego spisania protokółu o tem, że jak Tatarzyn i zbój wdarł się w nocy do świątyni Pańskiej i dopuścił się tam bezeceństw, a gubernator, by zyskać na czasie wobec oczekiwanego przybycia kozaków, uważał za możliwe zgodzić się na to wymaganie, które dla jego stanowiska służbowego było więcej niż wyrzutem, — wymaganie, które jedynie tem może być wytłómaczone, że rozjuszony tłum stracił wszelką zdolność do świadomego czynu. Tymczasem i zewnątrz kościoła tłum kilkatrotnie był atakowany podówczas przez konnych strażników; ci- weń nawet strzelali, co w czasie badania sądowego stwierdziły stanowczo zeznania dwu lekarzy, którzy dawali pomoc pięciu osobom, na szczęście lekko ranionym postrzałami z rewolwerów. Co zaszło po przybyciu kozaków i po ryczałtowem aresztowaniu masy osób, t. j. już po tem, gdy opór tłumu stanowczo złamano i stłumiono — to wszystko nie stanowiło przedmiotu badań sądowych; z pojedyńczych jednak oświadczeń podsądnych, których, naturalnie, nie można było uniknąć — widać, że następnie nad niektórymi z nich

[1]) *Proces Krożan* i t. d. str. 273.

dopuszczono się egzekucji administracyjnej: z rozkazu gubernatora kozacy ćwiczyli ich nahajami.

»Oto, Wasza Escelencjo, w ogólnych zarysach obraz tego wszystkiego, co zaszło w nocy z 9 na 10 listopada r. 1893 w m. Krożach; oto warunki, w jakich Izba zmuszoną była, przy największej nawet pobłażliwości, podpisywać wyrok, skazujący głównych sprawców do ciężkich robót! Lecz Izba, w roli sądu, ferowała ten wyrok, pełniąc swój obowiązek, jak to nakazują kodeks i sumienie, ale zarazem pokładała ufność w miłosierdziu Monarszem, do którego też postanowiła się uciec.

»Gdybym na tem poprzestał, nie powiedziałbym jeszcze wszystkiego, co wynurzyć uważam za obowiązek, choćby nawet nie dotyczyło to mnie, jako przedstawiciela instytucji sądowej. Mam na myśli starożytny murowany kościół przy skasowanym klasztorze Benedyktynek, który, zamiast oddać na parafjalny, bo teraźniejszy jest stary, drewniany i zgniły, jak to poświadczyli parafjanie, nie tylko że postanowiono zamknąć, lecz także znieść, zburzyć, co, na mocy oświadczenia gubernatora, które osobiście mi zrobił, według kosztorysu będzie kosztowało skarb nie mniej 11.000 rubli. W tem zniesieniu miejscowa ludność katolicka nie może nie widzieć chęci zburzenia drogiej dla niej świątyni, mającej dla niej nawet historyczne znaczenie, a nadto jeszcze — poniekąd i bezpośrednio prześladowania swej wiary, chociaż tak jedno, jak i drugie, śmiem tuszyć, nigdy nie było i nie może być w zamiarach rządu.»

Z jakiego zaś stanowiska patrzył ten urzędnik na sprawę, świadczy końcowy ustęp jego listu:

»Zestarzałem się na służbie rządowej, jestem wreszcie Rosyaninem i to Rosyaninem do szpiku kości, i dlatego mówię Panu: Ekscelencyo! sprawa, która dopiero co się zakończyła pod mojem przewodnictwem i pod której żywem wrażeniem kreślę te wyrazy, dlatego mianowicie, że jestem Rosyaninem, wzburzyła we mnie do głębi duszy uczucie narodowe, którem zawsze, wszędzie, a zwłaszcza w tym kraju, szczyciłem się, szczycę i będę się szczycił.»

Interes tedy państwowy, interes Rosyi w zabranym kraju wymagał, ażeby wyrok sądowy w sprawie krożańskiej nie był dalszym ciągiem doraźnej kary, wymierzonej na miejscu przez Klingenberga. Nie przeszkodziło to jednak, że znaleźli się tacy, którzy mocno się sprzeciwili takiemu zakończeniu sprawy i czynili starania, ażeby nie dopuścić do »ułaskawienia» skazanych.

Pierwszym śród tych, gdyby miał głos w tej sprawie, byłby niewątpliwie Klingenberg. Za jego zastępcę poniekąd możemy uważać jednego z zasiadających w sądzie »przedstawicieli stanów,» marszałka szlachty pow. wileńskiego, Leontjewa. Ten ex-prokurator, były kolega służbowy Klingenberga, pozostał wobec wyroku izby przy *votum separatum* i złożył na ręce przewodniczącego elaborat, wyjaśniający, dlaczego on, Leontjew, uznaje wyrok za zbyt łagodny i dlaczego nie zgadza się na ułaskawienie skazanych. Z tym wrzekomym przedstawicielem szlachty wileńskiej zsolidaryzował się generał gubernator Orżewskij, który w liście do ministra spraw wewnętrznych [1]) również uskarza się na »zdumiewający wyrok izby sądowej wileńskiej.» Powoławszy się na »odrębne zdanie» p. Leontjewa, którego poglądy zdaniem jego, »są najzupełniej uzasadnione i dobitnie wykazują niestosowną i niczem nieusprawiedliwioną pobłażliwość izby dla winowajców krożańskiego oporu zbrojnego, dokonanego za uprzednią zmową,» domaga się on także, ażeby łaska nie była zastosowana. »Tego rodzaju ułaskawienie — powiada Orżewskij — stanowczo wzbudzi w ludności gubernii kowieńskiej jeszcze większą wiarę w potęgę i bezkarność duchowieństwa rzymsko-katolickiego, tego promotora owej zbrodni i da powód do oskarżania urzędników, że to oni byli przyczyną, która spowodowała zbrojny opór.»

Jak wiadomo, głosy te, będące przejawem ostatniego rozbestwienia w walce z polskością i katolicyzmem, nie zostały uwzględnione, zwyciężył zaś pogląd, znajdujący swój wyraz w wyroku izby.

Przechodząc do sprawców rzezi a przedewszystkiem do Klingenberga, to, pomijając już to, że należałoby go uważać za zwykłego zbrodniarza, ponieważ analiza zachowania się jego wykazuje, iż działał nietylko jako urzędnik, ale i kierował się osobistą zemstą, trzeba stwierdzić, że wobec swego rządu okazał się on winowajcą — nie czynów dzikich, na których wspomnienie wstrząsa się cała istota ludzka, bo rząd tak patrzeć na rzecz nie może—ale skandalu, który skompromitował Rosyę wobec całej Europy, zajścia, które poruszyło umysły całej ludności polskiej i wzmocniło jej względem rządu nastrój. W zajściu tem Klingenberg wykazał brak zdolności do poważnego reprezentowania rządu wobec wrogo usposobionej ludności.

Niewątpliwie, w wyższych sferach rządowych zrozumiano to wszystko, zdano sobie sprawę ze szkód, wynikających dla państwa z zachowania się gubernatora i oceniono niskie jego kwalifikacye na rządcę kraju. Gdyby też żadne inne względy nie wchodziły w grę, zwycięzca krożański napewnoby się już znajdował w stanie spoczynku. Ocaliła go atoli ta okoliczność, iż dymisya jego byłaby pewną satysfakcyą dla społeczeństwa polskiego, które tego czekało, byłaby dla ludu żmudzkiego zapowiedzią, że ten sam los spotka każdego urzędnika, który w ten sposób sobie pocznie. Ofiary okrucieństwa gubernatorskiego doszłyby do przekonania, że to, co je spotkało, nie było karą, ze strony władzy za bunt, ale skutkiem wybryku zbrodniczej jednostki. Tego rząd nie chciał, i Klingenberg nietylko na stanowisku pozostał, ale w krótkim czasie wespół z Orżewskim otrzymał od cara order.

Rząd rosyjski, zachowując na stanowisku gubernatora i odznaczając go jeszcze nagrodą, pomimo że tyle szkody swem postępowaniem narobił i tak niezdolnym się okazał, chciał wyraźnie zaznaczyć, że to, co się stało w Krożach, pochodziło od władzy, że leży w systemie rządzenia krajem, że na przyszłość w każdym podobnym wypadku mordy i gwałty się powtórzą, że system murawjewowski nie należy wcale do przeszłości, że nadal w całej pełni będzie panował. To powinien był zrozumieć cały ogół polski, tym bardziej, że potwierdzenie tego znajdujemy w dalszem zachowaniu się Orżewskiego i Klingenberga, w walce z krzyżami przydrożnymi prowadzonej tak, że mogła niejednokrotnie zajścia podobne do krożańskiego wywołać.

Ma się rozumieć, powiedziano sobie z góry także to, że po tak głośnych skandalach dalsze pozostawanie Klingenberga w tej samej gubernii nie jest pożyteczne i że trzeba go będzie, prędzej czy później, zastąpić. Stało się to obecnie. Jak doniosła niedawno prasa urzędowa, gubernatorem kowieńskim został dotychczasowy gubernator wołyński, Suchodolskij, znany inicyator reform rusyfikacyjnych, najgorliwszy w tym kierunku działacz ze wszystkich gubernatorów, Klingenberga zaś przeniesiono na to samo stanowisko do Wiatki, gdzie bę-

[1]) *l. c.* str. 271.

dzie miał szerszą władzę, ale mniej zawiłe stosunki, a zatem i łatwiejszą działalność przy swem słabem uzdolnieniu. Naturalnie, dziennikarstwo galicyjskie, które wzięło sobie monopol na karygodną bezmyślność w sprawach zaboru rosyjskiego, na tej podstawie zaczęło głosić z tryumfem, że Klingenberga spotkała zasłużona kara, a znalazły się nawet dzienniki, które nominacyę jego uznały za zesłanie!

Postępowanie przedstawicieli rządu w Krożach i później zachowanie się rządu w całej sprawie, pomimo całej sensacyi, jaką ta sprawa wywołała, nie jest niczem innem, jak obrazem stałego stosunku Rosyi do Polski i wyjaśnieniem sposobów, jakimi naród nasz utrzymywany jest w bezwzględnej uległości dla władz. Brak wszelkiego gruntu legalnego dla opozycyi, a w razach oporu zdanie opierających się na łaskę i niełaskę pierwszego lepszego urzędnika, wypuszczenie na nich szajki rozbestwionego kozactwa — oto tajemnica rządzenia krajem. Po tak nieludzkich gwałtach, jakie się odbyły w Krożach, winowajców ich nie spotkała kara — przeciwnie, nawet ich nagrodzono.

Czyż, wobec tego, nie łatwo jest zrozumieć ciągły strach przed organami władzy, panujący w naszym kraju, i zrodzone przezeń rozmaite chorobliwe zjawiska, sztuczny lojalizm, manifestacye wiernopoddańcze i t. p.?

R. S.

Z CAŁEJ POLSKI.

Odpowiedź rolnika polskiego. Nowy typ ziemianina w zaborze rosyjskim. P. Chełkowski i opinia publiczna w zaborze pruskim. Kilka uwag o zachowawcach galicyjskich.

Niedawno w dzienniku *Nowoje Wremia* zjawiła się korespondencya z Kongresówki, zatytułowana »ze wsi polskiej«. Pisma nasze przedrukowały bez uwag wywody dziennika petersburskiego, który porównawszy inteligentnych rolników polskich z rosyjskimi, wyraził niespodziewane zdanie, że ci drudzy przewyższają współzawodników swoich wykształceniem teoretycznem. Polacy bowiem, zdaniem korespondenta, są rutynistami, i zawdzięczają mniemaną wyższość swoją jedynie dobrze urządzonej praktyce gospodarskiej. W odpowiedzi na tę korespondencyę zamieścił w *Dzienniku Poznańskim* »odprawę« autor, podpisany, prawdopodobnie pseudonimem, Maryan Frank. Miał on zadanie łatwe, bo gospodarka rosyjska ma ustaloną sławę barbarzyńskiego, pierwotnego wyzysku sił przyrody i pracy ludzkiej, a wykształconych rolników, pracujących samodzielnie w swoim zawodzie, w dzień ze świecą szukać trzeba na olbrzymich obszarach Rosyi właściwej. Mógł więc śmiało p. Frank, po przytoczeniu kilku odpowiednich faktów i zaznaczeniu warunków konkurencyi rolnictwa polskiego z rosyjskiem powiedzieć, że »chociaż trudniej jest rów przeskoczyć, kiedy z tyłu za poły trzymają, jednak w podobnym wyścigu my chyba jeszcze zdystansujemy naszych protektorów«.

Nie warto poruszać szczegółowo tej sprawy w kronice, poświęconej oświetlaniu i ocenianiu ważniejszych objawów życia polskiego, ale wielce znamiennym wydaje mi się ton, w jakim »odprawa« została napisaną. P. Maryan Frank przemawia z pewnością siebie, z wiarą we własne siły, z otuchą lepszej przyszłości. W głosie jego są nuty mocne i świeże. Tak mówić może tylko przedstawiciel warstwy czy grupy społecznej, która czuje swoją żywotność, czuje, że jest zdrową i zdolną do rozwoju.

Oddźwięków takiego nastroju nie znajdziecie w warstwie ziemiańskiej w zaborze pruskim, ani nawet w Galicyi, chociaż tutaj zajmuje ona stanowisko pod względem politycznym i społecznym uprzywilejowane. Od lat kilkunastu wytworzył się, a raczej się tworzy w Królestwie i poniekąd w kraju zabranym nowy typ szlachcica, właściwie ziemianina, którego rdzeń główny stanowią wychowańcy instytutu agronomicznego w Puławach, szkoły dublańskiej, uniwersytetów i innych wyższych zakładów naukowych. Mają oni zresztą nielicznych poprzedników w pokoleniu starszem i grupuje się już w jeden z nimi zastęp spora liczba rolników młodszych, którzy w zawodzie swoim kształcili się praktycznie. Ludzie tego pokroju nie skarżą się na złe czasy i trudne warunki, czasem nawet utyskiwaniom nieudolnych i niedołężnych towarzyszy w zawodzie przeciwstawiają poparte własnym przykładem zdanie, że gospodarstwo wiejskie nie jest wcale złym interesem, że, przeciwnie, stanowi ono wdzięczne pole dla pracy osobistej i publicznej. Są to fachowcy, którzy często po za swoim zawodem i sprawami, ściśle z nim związanemi, o niczem innem słyszeć nie chcą, ale zdarzają się też chlubne wyjątki, zwłaszcza w młodszem pokoleniu. Ci ostatni w warunkach niezmiernie trudnych, w bardzo ograniczonym zakresie działania robią nieraz dużo, daleko więcej, aniżeli o tem dokładnie dowiedzieć się i powiedzieć można.

Zapewne dawny typ »przedniego szlachcica«, że tak powiem, pod względem estetycznym, a nawet politycznym i etycznym, wydać się może sympatyczniejszym. Ale dziś ten szlachcic starej daty w warunkach, do gruntu przekształconych, jest już przeżytym typem społecznym, jest majątkowym i, co za tem idzie, coraz częściej moralnym bankrutem. Ma on przymioty zewnętrzne ojców swoich, ale cnót ich niema, chociaż w obcowaniu towarzyskiem, w stosunkach prywatnych jest dziś jeszcze przyjemniejszym, aniżeli ci nowi ludzie, którzy czy to z pewną szorstkością demokratyczną, czy z ogładą światową łączą zwykle twardą bezwzględność przedsiębiorców zawodowych.

Naturalnie, w tym typie »nowego ziemianina — zawodowca« znaleźć można rozmaite odmiany i odcienia, nieoczekiwane, czasem niezwykle oryginalne kombinacye różnorodnych rysów charakteru i temperamentu. Ja zaznaczyłem tylko pobieżnie główne typu tego właściwości, które wskazują, że ta wciąż rosnąca liczebnie grupa ludzi stoi mocno na gruncie praktycznym, żywo zajmuje się swemi sprawami zawodowemi, wykazuje na ogół pewne dążenia społeczne, mające umiarkowany charakter demokratyczny i prędzej czy później stać się musi, pomimo rozmaitości składających ją pierwiastków, dosyć jednolitą siłą polityczną. Otóż kiedy mi mówią i piszą; że ludzie, należący do tej grupy społecznej, do tego nowego typu, popierają mrzonki ugodowe, uznaję fakt, ale nie wierzę, żeby to usposobienie było długotrwałem. Nie wierzę zaś dla tego, że byłoby to niedorzecznością psychologiczną. Ludzie zdrowi i silni, pewni swej przyszłości osobistej i zbiorowej, nie mogą stać się wyznawcami polityki rozczarowania i bankructwa, ludzie, którzy mówią, że chociaż okoliczności zewnętrzne trzymają ich z tyłu za poły, oni jednak zdystansują swoich współzawodników, dali się po prostu zdurzyć zapewnieniem, że można ułatwić sobie warunki wyścigu. Tym łatwiej zaś można było ich omamić, że ani wykształcenia politycznego, ani żadnej praktyki politycznej nie posiadają. Ale oni z pewnością traktowali tę sprawę, jak interes,— uda się czy nie uda — spróbować

nic nie szkodzi — i nie zastanawiali się nad następstwami tej próby. Chodziło im tylko o możliwą chociażby drobną poprawę warunków swego bytu i pracy, warunków tego wyścigu zawodowego, które są dla nich tak niepomyślne, nie czują jednak z pewnością, zrozumieć nawet nie mogą »wewnętrznej potrzeby lojalizmu«. Właściwymi ugodowcami, gorliwymi zwolennikami polityki są przedstawiciele tego przeżytego typu szlacheckiego, który zbankrutował społecznie i moralnie, godni towarzysze tych dewastatorów, którzy oszukiwali wierzycieli lub tych marnotrawców i niedołęgów, którzy rujnując się sami, krzywdzili i zakażali całe swoje otoczenie.

Tacy nowi ziemianie, podobnie jak przedstawiciele mieszczaństwa, tyle mają zmysłu praktycznego, tyle zdrowego rozsądku i zasobów żywotności, że polityka dobrowolnej abdykacyi nie może być ich polityką. Jeżeli na chwilę dali się złudzić frazesami, to kiedy rzeczywistość do przytomności ich przywiedzie poczuć muszą właściwy ludziom, którzy rozumieją się na interesach i prowadzą je solidnie — wstręt do tych matactw oszukańczych, do tych naiwnych fantazyj bankrutów szlacheckich. Poznają wówczas, właściwie dziś już zapewne poznali, że takie brzmiące frazesem wyrażenia jak »trzeźwość moralna«, »polityka interesów realnych«, »wymagania rzeczywistości«, »przystosowanie się do konieczności dziejowej« są w danym wypadku plewą, z której żadnego ziarna wyłuskać się nie uda.

Ludzie, którzy mówią o sobie w dobrej wierze, że »u nas takich panów Nepomucenów Chełkowskich nie ma« — nie są materyałem, podatnym do kombinacyj ugodowych. Mylą się, bo »takich panów« i w ich otoczeniu nie trzeba długo szukać, ale w tej pomyłce zaznaczają instynktownie, że za polityką, dla której grunt psychiczny wytworzyły bankructwa p. p. Chełkowskich, nie pójdą.

Ten p. Chełkowski, o którym już poprzednio wspominaliśmy i o którym pisma poznańskie rozmaite szczegóły podają, jest osobistością nieciekawą, ale dosyć ciekawym jest stosunek opinii publicznej do zarzucanego mu czynu. Sprzedał on, będąc człowiekiem dosyć zamożnym, majątek swój Sośnicę komisyi kolonizacyjnej. Proponowano mu rozparcelowanie tych dóbr pomiędzy ludność polską, na dogodnych warunkach, on wszakże oświadczył, że czekać nie może. Po spełnionym fakcie wykazano dowodnie, że po sprzedaży majątku zostało mu 230.000 marek, że długi były stosunkowo niewielkie i na spłacenie znacznej ich części otrzymał niedawno po śmierci ojca 100.000 marek. Słowem, mógł ziemi komisyi nie sprzedawać, a tymbardziej mógł czekać i powoli parcelować Sośnicę. Sam p. Chełkowski przed znajomymi nie ukrywał się, że majątek rodzinny sprzedaje i oni mu tego za złe nie brali, po sprzedaży zaś zawiadomił przyjaciół, że chcąc dać ludziom czas do »wysapania się«, wyjeżdża za granicę.

Z wyjątkiem *Gońca wielkopolskiego* żadne inne z pism miejscowych nie oburzyło się z powodu tej sprzedaży, chociaż niektóre podały wymienione fakty. Przeciwnie, znalazło się nawet pismo — ultralojalny i katolicki *Kuryer poznański*, które otwarcie w obronie p. Chełkowskiego wystąpiło. Niejednemu z czytelników naszych wydać się może dziwną taka obojętność opinii publicznej, sprobujemy więc ją wytłomaczyć.

Przedewszystkiem fakty podobne tak często się powtarzały, że nie mogą już wywierać silnego wrażenia. Powtóre t. zw. opinia publiczna w rzadkich wypadkach tylko bywa zgodnem wyrażeniem zdania ogółu. Zwykle są rozmaite opinie publiczne rozmaitych warstw i grup społecznych. Któraż z tych opinii może się oburzać na p. Chełkowskiego? Opinia tej warstwy, do której on należy, t. j. obywatelstwa ziemskiego, już z tego względu pobłażliwą być musi, że nie ma chyba rodziny pańskiej lub szlacheckiej, którąby w gronie bliższych, bądź dalszych członków nie liczyła bodaj jednego sprzedawczyka. Po prostu ustałoby życie towarzyskie w tej klasie społecznej, zerwałyby się stosunki rodzinne, gdyby takie wykroczenia surowo potępiano. Zresztą szlachta wielkopolska i pruska wie o tem lub czuje bezwiednie, że jej rola społeczna juz się skończyła. Ci, co nie sprzedają Niemcom majątków, powstrzymują się najczęściej od tego przez wzgląd na stosunki lub interesy osobiste, interes publiczny bardzo mało w gruncie rzeczy ich obchodzi. Każdy niemal z nich w pewnych okolicznościach sprzedałby za dobre pieniądze swoją Sośnicę, nie może więc potępić sąsiada, który to zrobił. P. Chełkowski był tylko szczerszym i śmielszym może od innych.

Opinia znowu tych warstw, które widzą i rozumieją bankructwo moralne i materyalne szlachty, dla tego już nie może sądzić go surowo i bezwzględnie, że widzi w tego rodzaju faktach objawy naturalne pewnego procesu społecznego. Ci *morituri* są żywymi okazami rozkładu społecznego. Szkodliwe następstwa tego rozkładu należy usuwać, należy im przeciwdziałać, ale powstrzymywać jego przebiegu, tymbardziej gniewać się, że rozpada się i gnije to, co warunków do życia nie posiada — nie można.

Są niewątpliwie w warstwie szlacheckiej wyjątki dosyć liczne, których istnienie bałamuci opinię ludzi, nie zdających sobie sprawy z właściwego charakteru przeobrażeń społecznych. Ludzie tacy w najlepszej wierze łudzą się jeszcze, że można uratować to, co zginąć musi, że zjawi się jakiś cud, który »przeżyte kształty« odrodzi, że dla kilku czy kilkudziesięciu sprawiedliwych ocaloną będzie Sodoma szlachecka, bo przecie nie jest ona taką grzeszną, jaką była jej imienniczka starożytna, owszem, jest nawet dosyć sobie poczciwą i dobroduszną Sodomą. Widzą oni pomiędzy szlachetnymi wyjątkami i sprzedawczykami tłum szary, bezbarwny i sądzą, że ten tłum do poziomu wyjątków podnieść można, gdy w rzeczywistości tłum ten składa się ze sprzedawczyków *in potentia* lub z ludzi, skazanych na wymarcie, bo sami w to nie wierzą, że żyć mogą. Doświadczenie coraz częściej przekonywać będzie naiwnych, że ulegają złudzeniu optycznemu, że ten tłum, który, jak się im zdaje, przechyla się na prawo i podnosi ku górze, w samej rzeczy idzie na lewo i zsuwa się po pochyłości coraz niżej.

Tak wygląda naga prawda i jest ona może przykrzejszą dla tych, których dotyczy, aniżeli najsurowsze napomnienia i potępienia. Oburzanie się i wyklinanie byłoby już nadmiarem kary, zresztą każda jednostka czy grupa społeczna, która czuje w sobie siłę, która rozwija się i rośnie, doznaje raczej uczucia trochę pogardliwej litości wobec wszystkiego, co jest przeżytem, niedołężnem i kalekiem. Ale z tem uczuciem litościwego pobłażania i wyrozumiałości nie możemy patrzeć na t. zw. szlachtę w Galicyi, chociaż i ona, jak to wykazywaliśmy dawniej, traci znaczenie przewodniej klasy społecznej i znajduje się w przededniu likwidacyi swej powagi politycznej. W Galicyi warstwa szlachecka i ziemiańska, dzięki niektórym pomyślnym dla niej okolicznościom, doszła do szczytu możliwej dla niej przewagi politycznej, ale znajduje się na tej przełęczy społecznej, na której długo utrzymać się nie może i zacząć musi, właściwie już zaczęła staczać się po pochyłości z dru-

*

giej strony. Ma ona wpływy i znaczenie, nie odpowiadające wcale realnym warunkom jej siły duchowej i materyalnej. Widzi i nawet może rozumie, że stanowisko jej naczelne jest dziś zachwianem, broni go wszelkimi możliwymi środkami i sposobami, jakie jej dają władza i hierarchia społeczna, wzywa na pomoc wszelkie siły ziemskie i niebieskie — bagnet żandarma lub reskrypt starosty i powagę kościoła, czuje jednak, że sama w sobie sił nie ma. Trzy dzienniki zachowawcze — *Czas*, *Gazeta Narodowa i Przegląd lwowski* w krótkich odstępach czasu zgodnie zaznaczyły, że t. zw. hierarchia społeczna, że stronnictwa ładu i porządku wobec agitacyi radykalnej (ludowej i socyalistycznej) uważają sprawę swoją za moralnie przegraną i licząc jedynie na środki zewnętrzne, zdobyć się nie mogą na przeciwdziałanie jej moralne, na walkę z nią równą bronią agitacyi, propagandy i gorliwej pracy społecznej. Widocznym jest w obozie zachowawczo-szlacheckim upadek ducha, jeżeli organy jego tak wytrwale opieszałych i zniechęconych do działalności publicznej pobudzają i nawołują.

Powiedział kiedyś hr. Stanisław Tarnowski (zdaje się, w książce »Z doświadczeń i rozmyślań«), że w dzisiejszym stanie stosunków społecznych wybierać można tylko między despotyzmem i anarchią. Ten sam polityk na ostatnim wiecu katolickim surowo krytykował rząd, że nie jest dosyć stanowczym w walce z żywiołami, pragnącymi obalić porządek (właściwie przywilej) społeczny. Niewątpliwie stronnictwa zachowawcze przez dłuższy czas jeszcze utrzymają swoją przewagę polityczną, ale w miarę jej koniecznego uszczuplania rząd, który musi się liczyć w działalności państwowej z wyższym poziomem warunków społecznych w innych prowincyach państwa, będzie dla nich coraz mniej odpowiednim, coraz mniej stanowczym. Dla tego to, świadomie lub bezwiednie, probują dziś już skierować swe sympatye i dążenia polityczne w tę stronę, gdzie widzą pewną rękojmię potrzebnej stanowczości, gdzie nawet dla nich rząd jest raczej zanadto niż zamało despotycznym. Zwracaliśmy uwagę na ten objaw ciążenia pewnej części, najbardziej świadomej, zachowawców galicyjskich ku Rosyi, którą chcą sobie na wszelki wypadek zjednać lub chociażby przejednać Rosya jest dziś jedyną twierdzą reakcyi i przywileju społecznego w Europie, ku niej więc zwracać się muszą sympatye wszystkich stronnictw wstecznych, zwłaszcza w takich warunkach, kiedy interes narodowy schodzi na plan drugi, a na czoło dążeń politycznych wysuwa się interes klasowy. Podejrzenie nasze, że w programie politycznym stańczyków, ma się rozumieć w programie dla wtajemniczonych, lojalizm austryacki może być w przyszłości zamieniony na lojalizm rosyjski, nie było wcale dowolnem przypuszczeniem. Dziś widzimy, że niezależnie od nas i na zasadzie innych poniekąd danych takież podejrzenie wypowiadają: dosyć ostrożnie i niezbyt jasno *Nowa Reforma*, a zupełnie wyraźnie *Kuryer lwowski*. Pomiędzy polityką stańczyków krakowskich i ugodowców warszawskich istnieje związek ścisły i na wszelkie roboty pokątne lub zręcznie zamaskowane zawczasu baczną zwracać należy uwagę. Nie chodzi tu o lojalizm austryacki, ale, jeżeli można użyć tego wyrażenia, o lojalizm polski.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 10 sierpnia.

Jeszcze „prawdziwy Polak". Kwestya etyczna. Co to jest współpracownictwo w *Warsz. Dniewniku?*

W jednej z moich korespondencyi pozwoliłem sobie być tyle niedyskretnym, żem ogłosił o współpracownictwie ks. Stojałowskiego w *Warsz. Dniewniku.* Nie pierwsza to już moja niedyskrecya, niedawno bowiem dopuściłem się podobnego występku względem niejakiego Wiśniewskiego, którego tajne raporty składane warszawskim żandarmom pozwoliłem sobie streścić. Ostatni nie wystąpił z pretensyą publiczną do mnie, natomiast »prawdziwy Polak« z *Warsz. Dniewnika* (*czytaj*: ks. Stanisław Stojałowski) wydaje sąd o wartości moralnej mego postępowania, w liście tymi dniami ogłoszonym znów w *Warsz. Dniewniku.*

Ponieważ z tego, co pisze, widać, że nie rozumie on swego stanowiska, jako współpracownika *Warsz. Dniewnika*, przeto muszę mu je na tem miejscu wytłómaczyć.

Przedewszystkiem jednak zobaczmy, co on pisze:

»Nie pisałem już kilka tygodni — zaczyna »prawdziwy Polak« swój list — ponieważ oczekiwałem dalszych poszukiwań dziennikarzy galicyjskich, łamiących sobie już po raz drugi głowę nad tem, kto jest autorem artykułów niniejszych i w tej myśli napadających obecnie na ks. Stojałowskiego z żądaniem, aby się przyznał do popełnionej przez się »zdrady narodowej« lub też ostatecznie wyparł się autorstwa tych korespondencyi w *Warszawskim Dniewniku.*

»Manewr to bardzo zręczny. Jeżeli ks. Stojałowski wyprze się, o jedno indywiduum podejrzane będzie mniej i poszukiwania szpiegowskie staną się przez to łatwiejsze; jeżeli zaś nie wyprze się, to wtedy »patryoci« i rząd austryacki t. j. hr. Badeni pozyskają przeciw niemu broń gotową.

»Nie można powiedzieć, aby postępowanie dziennikarzy galicyjskich można było uznać za zgodne z zasadami najpospolitszej przyzwoitości. Ani jedno czasopismo nie mówi o tem, *co* pisał ten znienawidzony »prawdziwy Polak«, ani jedno nie wykazuje, *w czem* się on myli, lecz stara się przedstawić sam fakt korespondowania z *Warszawskim Dniewnikiem*, jako przestępstwo i zdradę narodową. Lecz niedość na tem. Dopuszczają się wprost denuncyacyi, popieranych przez listy bezimienne do władz miejscowych w tym celu, aby zaszkodzić przeciwnikowi, którego w walce politycznej o wpływ nad ludem nie można ani przekonać dowodami, ani usunąć.

»*Warsz. Dniewnik* pominął wszystkie te brudne sprawy milczeniem i ja też ze swojej strony pozwalam dziennikarzom galicyjskim w dalszym ciągu szpiegować i zgadywać, kim jestem«!...

Pominąwszy to, że w dalszym ciągu już »szpiegować i zgadywać« nie trzeba, kim jest »prawdziwy Polak«, pierwsze bowiem moje informacye okazały się prawdziwemi, i stosunki ks. Stojałowskiego z redakcyą *Warsz. Dniewnika* są dziś dla mnie faktem stwierdzonym, zatrzymam się na etycznej stronie całej tej sprawy.

»Prawdziwy Polak« skarzy się, że go szpiegują, że go denuncyują w pismach, popierając te denuncyacye listami bezimiennymi do władz miejscowych i t. d., i wyraża niejako uznanie *Warsz. Dniewnikowi*, że pominął te »brudne sprawy« milczeniem. Przypuszczam, iż rzeczywiście są tacy, co na ks. Stojałowskiego piszą do władz bezimienne denuncyacye — tego rodzajn procederzystów wszędzie znaleźć można — to jednak, że »prawdziwy Polak« podcią-

gnąć je usiłuje pod jednę kategoryę z moją, jak ją nazywa, denuncyacyą w *Przeglądzie wszechpolskim*, dowodzi, że nie rozumie on, albo też nie chce rozumieć swego stanowiska, jako współpracownika *Warsz. Dniewnika*.

Doprawdy, zaczynam się obawiać, że i p. Antoni Wiśniewski, współpracownik pp. Brocka, Markgrafskiego, Utthofa i in., obrażony za to, żem się wdarł w jego tajemnice prywatne i ogłosił dane o jego współpracownictwie, nazwie mię także denuncyantem.

Nie wiem czy jest dziennikarz, któryby więcej odemnie uznawał potrzebę szanowania cudzych tajemnic. Ujawnianie właścicieli pseudonimów bez ich woli uważam za rzecz przeciwną dziennikarskiej etyce. Ale etyka dziennikarska obowiązuje tylko tam, gdzie się ma do czynienia ze sferą istotnie dziennikarską, z dziennikiem i redakcyą, nie zaś z kancelaryą — a nikt chyba nie zaprzeczy, że redakcya *Warsz. Dniewnika* jest kancelaryą, nie mającą ani źdźbła samodzielności dziennikarskiej, ale zależną ściśle od zwierzchniej władzy, od generał-gubernatora warszawskiego. Naczelnik tej kancelaryi, dla przyzwoitości nazywający się redaktorem, p. Timanowskij, zanim go władza mianowała na to stanowisko, był prokuratorem, sędzią, a jutro może być przeniesiony do nowo utworzonej »kancelaryi pomocnika gen. gubernatora do spraw politycznych«, na jego zaś miejsce może być mianowany pułkownik żandarmów, p. Markgrafskij, mający w tym kierunku wielkie powołanie.

Warszawskij Dniewnik jest nietylko pisany i redagowany według ścisłych instrukcyi władzy, przez urzędników, ale nadto i rozpowszechniany przez administracyę i policyę, i pod tym więc względem jest czemś całkiem innem, niż zwykła gazeta.

Łatwo chyba zrozumieć, że tajemnice takiej instytucyi o tyle zasługują na poszanowanie, o ile tajemnice np. kancelaryi warszawskiego okręgu żandarmskiego. Obowiązkiem każdego uczciwego Polaka jest — wszystko, co wie o wewnętrznych stosunkach każdej z tych kancelaryi, podać do wiadomości swego ogółu.

»Prawdziwy Polak« dziwi się, że nikt z jego poglądami nie polemizuje. Na to mu odpowiem: jeżeli chce wywołać polemikę, niech wygłosi je na innem miejscu. Nie dlatego, że *Warsz. Dniewnik* jest pismem rosyjskiem, bo chociaż uważam, że Polak z rodakami swymi mógłby o polityce polskiej dyskutować w prasie polskiej, że nie ma właściwie celu wywłóczenie tej dyskusyi przed czytelników rosyjskich, to swoją drogą mógłbym się zgodzić na polemikę, gdyby artykuły zamieszczono w piśmie, mającem choć pozory niezależności, choćby np. w *Nowem Wriemieni*. Nie chcę też dowodzić, że wogóle *Warsz. Dniewnik* nie zasługuje na to, ażeby z nim polemizować — przeciwnie, sam z nim polemizowałem, ale tylko wtedy, gdy artykuły pochodziły od redakcyi i wogóle od władz, bo wiedziałem, że mam do czynienia z opinią rosyjskiej administracyi lub policyi, jednem słowem z opinią sfer, mających w naszych stosunkach duże znaczenie. Żaden atoli szanujący się i poważny człowiek nie wdawał się nigdy w dyskusyę z Polakami, przemawiającymi na łamach tego pisma o sprawie polskiej, żaden bowiem szanujący się Polak swoich zasad politycznych w *Warsz. Dniewniku* nie wykładał i wykładać nie będzie.

Ci przedstawiciele polskiego społeczeństwa, co dotychczas w *Warsz. Dniewniku* o sprawie polskiej, o polityce polskiej pisali — byli to bez wyjątku albo przekupieni, albo obłąkani.

Ani jedna, ani druga kategorya nie zasługuje na to, żeby się w spór z nią wdawać. Natomiast jednych i drugich trzeba tropić i z pośród siebie usuwać, jak usunięto osławionego księdza Domagalskiego, Ławkowicza — autora »Głosu z ludu w kwestyi polskiej«, Śnieżko-Błockiego, który w tymże *Dniewniku* zdenuncyował tow. kredytowe, i wielu innych. Instynkt samozachowawczy społeczeństwa nie pozwala mu tolerować ani zdrajców, ani politykujących waryatów.

Być może, iż ks. Stojałowskiego należy względniej sądzić, podając za łagodzącą okoliczność to, iż nie zna tutejszych stosunków, że sam nie wie, co robi. Być to może, ale jego jest rzeczą błąd naprawić i nawrócić z obranej drogi, nie zaś nam zastanawiać się nad drogami, które go do redakcyi *Warsz. Dniewnika* sprowadziły.

***

Warszawa 1 sierpnia.

Rusyfikacya instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie.

Instytut głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie do ostatnich czasów jeszcze był jedynym bodaj zakładem naukowym, który nie dawał się pochłonąć fali rusyfikacyjnej, który najdłużej opierał się wprowadzeniu języka rosyjskiego, jako wykładowego i tych wszystkich t. zw. reform, za pomocą których Rosyanie ze szkoły czynią przybytek ogłupiania i demoralizacyi. Instytut ten, jedyny na całe Królestwo, wzorowo prowadzony przez takiego specyalistę, jakim był śp. Jan Papłoński, już za jego urzędowania był przedmiotem różnego rodzaju prób, narzucanych z góry, a mających na celu zmianę stosowanego tam systemu nauczania, nadanie mu charakteru możliwie rosyjskiego i prawosławnego. Dzięki jednak uczciwości, cywilnej odwadze i rozsądkowi przełożonego, zamachy te były skutecznie odpierane.

Zakład ten do śmierci Papłońskiego był całkowicie polskim, jeżeli bowiem narzucanie języka obcego dzieciom fizycznie najzupełniej normalnym uznanem zostało wszędzie za niepedagogiczne, to czemże wobec tego byłoby zmuszanie istot nieszczęśliwych, pozbawionych wzroku, słuchu i mowy, do uczenia się w języku, dla nich i dla ich otoczenia niezrozumiałym! Papłoński takiego barbarzyństwa dopuścić się nie chciał.

Za jego czasów każdy nauczyciel prowadził nauczanie kompletu wychowańców przez całe sześć lat, od pierwszej do szóstej, wykładając wszystkie przedmioty, objęte programem, z wyjątkiem religii, wykładanej przez księdza. Nauczyciel, mając do czynienia z dziećmi, posiadającemi wskutek kalectwa ograniczoną nader sferę pojęć, uczył je myśleć, czytać i wymawiać tylko w jednym języku polskim, ponieważ uczenie w dwóch językach połączonem by tu było z olbrzymiemi trudnościami.

Te właśnie trudności, które nazwiemy technicznemi, jakoteż względy czysto humanitarne broniły zakładu od rusyfikacyi, to też do śmierci Papłońskiego istniały tylko oddziały polskie, jako jedynie potrzebne dla mieszkańców Królestwa Polskiego. Dla Rosyan istnieją odpowiednie zakłady w Moskwie i Petersburgu.

Po zamianowaniu na dyrektora instytutu dra Zieńca, Rosyanina, człowieka bez charakteru, choć mającego niekiedy lepsze popędy, Apuchtin kazał otworzyć równoległe oddziały rosyjsko-prawosławne, gdzie wykłady odbywają się tylko po rosyjsku i uczniom narzuca się czysto rosyjski sposób myślenia. Oddziały te jednak z początku nie wielu miały uczniów, bo rodzice polscy dzieci swoich tam nie oddawali, a rosyjskich kandydatów brakło. Dziecko wychodzące z oddziału rosyjskiego, nie umie nic po polsku, mnóstwa wyrazów polskich zupełnie nie rozumie, umie pisać i czytać tylko po rosyjsku. Pod pozorem złego zarządzania zakładem dr. Zieniec dostał wkrótce dymisyę, bo na

jego miejsce Apuchtin już upatrzył sobie człowieka, który bardziej odpowiadał jego widokom. Był nim osławiony dr. Błagowieszczenskij, fanatyczny »diejatiel«, którego jedynym zadaniem i celem, zda się, jest ruszczenie wszystkiego i wszystkich naokół *per fas et nefas*. Na wstępie swego urzędowania wydał polecenie, aby w obrębie gmachu wszyscy mówili tylko po rosyjsku. Z początkiem roku szkolnego, aby dla oddziałów rosyjskich pozyskać największą możliwie ilość uczniów, uciekł się do sposobu, praktykowanego często przez Rosyan w Polsce Instytut głuchoniemych posiada pewną ilość legatów, od których odsetki obracane są, zgodnie z wolą ofiarodawców, na stypendya dla biedniejszych wychowańców. Otóż p. Błagowieszczenskij ogłosił, że tylko tym wychowańcom udzielane będą stypendya, których rodzice złożą deklaracye, iż życzą sobie, aby ich dzieci umieszczono w oddziale prawosławno-rosyjskim.

Nikczemny ten postępek oburzył oczywiście wszystkich, ale niestety niektórzy rodzice przystali na taką frymarkę i deklaracyą podpisali. Takim podstępem umieszczeni zostali na oddziale rosyjskim: Urbańczyc, Tomaszewski z Bessarabii, Sańkowska, Nowicka z gub. kaliskiej, Chrapowicki z Kamieńca podolskiego, Begagon z Łomży.

Wszystkie te dzieci po powrocie do domu będą tylko po rosyjsku rozumieć, tylko po rosyjsku czytać i pisać, czyli że nie będą w stanie porozumieć się ze swem najbliższem otoczeniem. Nadto podczas pobytu w instytucie nie chodzą one na religię, wykładaną z podręcznika polskiego, ponieważ nie umieją ani jednej litery po polsku.

Pan Błagowieszczenskij w oddziale dla ociemniałych kazał już uczyć czytać i pisać tylko po rosyjsku, zabronił mówić po polsku uczniom pierwszej klasy w ciągu całego dnia. W ten sposób pozbawiono tę nieszczęśliwą dziatwę jednej z główniejszych przyjemności, która ich kalectwo czyniła nieco znośniejszem. Jestto postępowanie, na które brak słów potępienia. Przez taki system, instytucya, która miała przyczyniać się do niesienia ulgi nieszczęśliwym, miała więc wysoce humanitarne zadanie, obecnie wprost naigrawa się z niedoli ludzkiej, wypacza najzupełniej intencye założycieli i schodzi do rzędu prostej mordowni.

Nie dosyć na tem. Dotychczas wychowańcy instytutu po jego skończeniu przeważnie poświęcali się rzemiosłom wśród swoich, obecnem postępowaniem zarząd kroi na to, aby zupełnie zerwać nici, łączące ich ze społeczeństwem, wśród którego wyrośli, odebrać im możność istnienia w tem społeczeństwie, natomiast czyni wszystko, aby im życie utrudnić i uprzykrzyć.

Tak więc system rusyfikacyjny w sferze szkolnictwa doszedł już do tych granic, gdzie wszelkie uczucia ludzkie całkiem zanikają, gdzie wszelkie skrupuły moralne nie grają już żadnej roli, gdzie »wychowawca« rosyjski staje się wyrafinowanym okrutnikiem, bez drgnienia najmniejszego znęcającym się nad temi istotami, które nawet w najtwardszych sercach dzikich pogan wywołują objawy współczucia.

M—e.

Łódź, w lipcu.

Rozrost miasta. Opieka rządu. Brak komunikacyi. Typ „lodzermeuszów". Służalczość w obec naczalstwa. Przykłady inicyatywy w duchu „łódzkim". „Umier po starosti." Łódzka pedagogia.

Jeszcze w 1809 roku liczyła zaledwie 800 mieszkańców, a dziś po kilku dziesiątkach lat, dzięki nadaniom i przywilejom, ustanowionym jeszcze przez rząd Królestwa Polskiego, wzrosła Łódź do rozmiarów potężnych, z ludnością przeszło 300-tysięczną. Prasa rosyjska, nie pomijając żadnej sposobności, aby bronić interesów przemysłu moskiewskiego, stawia nam przed oczy ten niezwykły rozwój Łodzi, gdy zajdzie potrzeba wykazania błogich skutków zlania się Polski z Rosyą. Fakty były tak łudzące, że do niedawnych jeszcze czasów socyaliści polscy uważali istniejący stan polityczny za bardzo sprzyjający rozwojowi zamożności i uświadomienia klas pracujących. Znane wypadki w roku 1892 odsłoniły odwrotną stronę medalu.

Trudno przesądzać, jakimby byłby stan przemysłu naszego, pozbawionego rynków rosyjskich. Dwie strony kwestyi należałoby tutaj wziąć pod uwagę. Z jednej strony konkurencya fabryk rosyjskich zwiększa się coraz bardziej, mając po swojej stronie opiekę rządu, ustanawiającego taryfy różniczkowe na przewóz towarów, i czyniącego wszystko, coby mogło zatamować rozwój naszego przemysłu; konkurencyę tę wytrzymujemy do czasu, a pomaga tutaj niezmiernie europejskie, systematyczne prowadzenie fabrykacyi. Jednak z tej strony oczekiwać należy w niedalekiej już przyszłości zmian wielkich, pewno nie na naszą korzyść. — Z drugiej strony uderzającym jest fakt, że ogromną ilość tkanin n. p. w lepszych gatunkach sprowadzamy z Rosyi, co już jest rzeczą nienaturalną Pozostawiając tę kwestję na stronie, przedstawiamy w niniejszej korespondencyi, jaką jest ta Łódź, pod opiekę dobroczynną rządu wyrosła, jaką zajmuje pozycyę w naszym bilansie życia narodowego.

Ktoś kiedyś, pisząc o Dąbrowie i okolicy, zastanawiał się nad faktem, że gdyby tak naraz zniknęły stamtąd fabryki, miejscowość pozostałaby również biedną, również dziką, pozbawioną dróg, mostów, domów, ulic, oświetlenia, jaką była przed laty kilkudziesięciu, pomimo że z tej ziemi i z pracy zamieszkujących ją ludzi wyciągnięto miljony. Zupełnie to samo powiedzieć moglibyśmy o Łodzi. Człowieka, który widział podobne centra przemysłowe za granicą, wprawia w zdumienie widok Łodzi i okolicy, w której spotykamy takie osady fabryczne jak Widzew, Palżanice i inne. Trzystatysięczne miasto nie posiada komunikacyi, nawet kolei obwodowej, a każdy pud węgla przewożonym być musi końmi do najdalszych punktów, o kilka mil odległych. Opieka rządu znajduje pewno najlepszy swój wyraz w spawie kolei obwodowej· Dla rozwoju przemysłu niezmiernej doniosłości, sprawa ta oddawna stoi na porządku dziennym. Pamiętamy wszyscy memorjały przemysłowców rosyjskich, błagających rząd o wzbronienie budowy tej kolei, w interesie przemysłu moskiewskiego.

Patryotyczne uczucia panów ministrów może jednak ustąpiłyby innym »brzęczącym« względom, mającym związek z kieszeniami kapitalistów łódzkich, gdyby nie pan Bloch, który także posiada „względy", nawet większe, a podobno w swoim czasie wpłynął na powołanie pana Wittego do ministeryum jeszcze za czasów Wyszniegradzkiego. Bloch jest właścicielem kolei fabryczno-łódzkiej, tej zakały kolei całego świata, która jednak przynosi kolosalne zyski. Za kilka lat kolej ta ma przejść na własność rządu, a cena jej zależeć będzie od wysokości dywidendy, jaką przynosi obecnie. W razie przeprowadzenia kolei obwodowej, kolej pana Blocha straci niezmiernie, bo cały dochód z magazynów i składów, a następnie obowiązywałyby ją ogólne taryfy, jako linię pośrednią, gdy teraz sama sobie wyznacza taryfy.

Brak komunikacyi w mieście jest sprawą pierwszorzędnej doniosłości, gdyż on to stoi na przeszkodzie rozwojowi życia gromadzkiego: tu ludzie spotykają się tylko dla »gieszeftu«.

Niestety i tutaj rząd stawia przeszkody, a sprawa tramwajów liczy już zgórą 10 lat wieku. O brukach trudno mówić, bo na ich wspomnienie źle się robi. Coprawda i sfery »obywatelskie« mało dbają o takie rzeczy. Stanie się to zrozumiałem, gdy przypomnimy sobie ludzi, którzy stwa-

rzali Łódź Choć nie zawsze w zastosowaniu do jednostek, wogóle jednak sprawiedliwem jest zdanie, że emigracya reprezentuje gorszą cząstkę inteligencyi narodu, mianowicie tę część, która mniej silnie przywiązaną jest do kraju ojczystego, mniej ceni jego instytucye i urządzenia, i bez żalu żegna się z niemi. Takie żywioły imigracyjne nie starają się bynajmniej o podniesienie kultury miejscowości, w której się osiedlają, nawet w tym wypadku, gdy osiedlają się nazawsze. Przybysze Niemcy, którzy dotychczas nadają kierunek tulejszemu życiu (brak mi danych ścisłych, w przybliżeniu można liczyć w ten sposób: przeszło 4% katolików, niespełna 30% ewangelików, resztę stanowią żydzi,— jednak właścicielami fabryk są wyłącznie prawie Niemcy), a właściwie drugie już pokolenie, stanowią element indyferentny, poza żądzą »zrobienia« pieniędzy nie mają żadnych zgoła potrzeb, żadnych dążeń, choćby naprzykład w kierunku sztuki: nie posiadamy tutaj żadnej galeryi obrazów, żadnego muzeum. W czasach ubiegłych stosunek Niemców do społeczeństwa naszego był takim, jakiego wymagał interes, resp. umizgi do rządu. Towarzystwo strzeleckie za usługi, wyświadczone rządowi w »czasach niespokojnych«, otrzymuje specyalne przywileje dotyczące posiadania broni. Obecnie potomkowie tych rycerzy, utraciwszy związek *z Vaterlandem*, wytworzyli specyalną odmianę etnograficzną »lodzermeuszów«; natomiast służalczość, ta ogólna właściwość elementów imigracyjnych (przypomnieć wystarczy szwajcarów-emigrantów, którzy po wszystkie czasy i wszędzie byli podporą tronów i obroną przeciw żądaniom ludów), utrzymała się dotychczas i rozwija się ciągle, a kwiaty jej oglądaliśmy podczas uroczystości koronacyjnych.

Dziwna rzecz! Ci ludzie, którzy chełpią się na każdym kroku umiejętnością rachowania, którzy tak mocno wierzą w potęgę mamony i rzeczywiście mogliby wodzić na złotym pasku wszelkiego rodzaju »naczalstwo«, — ci ludzie w stosunku do tego naczalstwa odznaczają się zdumiewającym »idealizmem«. Typowym przedstawicielem tego gatunku jest taki n. p. znany już chyba całej Polsce fabrykant Dietel z Sosnowca, przechowujący w specjalnie zrobionej skrzyni pościel, na której spoczywał w jego domu hr. Szuwałów — typ tępego chama-miljonera, którego postępowanie wyjaśnić nam może chyba „*die deutsche Bedientennatur*“. Otóż takimi, w mniejszym lub większym stopniu, są wszelacy Lorenz'owie i inni. Czy słyszeliście, żeby gdziekolwiek w celu okolicznościowego iluminowania miasta przedsiębrane były urządzenia trwałe w rodzaju wmurowywanych w pałace, oraz wbijanych w chodniki, prętów i słupów, do przyczepiania sznurów z lampionami służących? A takie właśnie urządzenia widzieliśmy i widzimy w Łodzi. Tutaj fabrykanci uczą się języka rosyjskiego, jeżdżą po mieście rosyjskimi zaprzęgami, budują kosztem 300.000 rubli pierwszą cerkiew prawosławną, a gdy przyjedzie jakiś duchowny prawosławny, pędzą wszyscy, nie wyłączając takich potentatów, jak Scheibler, Herbst, na obiad, na cześć przyjezdnego »ojca« wydany, choć ich nikt o to nie prosi. Trudno zresztą szukać w ludziach tych słabych choćby przejawów poczucia godności osobistej. Polacy, choć nie mogą sypać tak pieniędzmi (według stawu grobla!), nie ustępują pod wielu względami Niemcom. W ostatnich czasach element polski wśród wyższych i średnich warstw wzrósł w liczbę i we wszystkich gałęziach techniki mamy już pełno Polaków. Lecz jak magnes z pośród jakiejś mięszaniny wybiera i przyciąga cząsteczki żelaza, tak Łódź przyciąga jednostki dla siebie odpowiednie i z nią harmonizujące. Zgromadzała więc dotychczas karjerowiczów, a że atmosfera jej — gorączkowe uganianie się za pieniędzmi — działa pociągająco, dowodem tego n. p. fakt, że w tutejszych kantorach rzadko spotkać można ludzi starszych nad lat 25: reszta po dojściu do tego wieku, usiłuje być »samodzielną«, zakłada swój »interes«. Łatwo wyobrazić sobie można, jak przedstawiają się te »interesy« wobec ich mnogości, i zrozumiemy, dlaczego tak często są tutaj t. zw. »plajty«. Interesy handlowe wymagają bardzo wysokiego poziomu moralności, bo tam wszystko polega na wzajemnem zaufaniu i wierze, a pozycya, zapisana w księdze głównej, ma siłę i znaczenie prawnego aktu. Tymczasem smyki, rozpoczynające »interes« bez żadnych ku temu danych, nie krępują się oczywiście żadnymi względami, a co z tego wynika, o tem wiemy z kroniki wypadków i oszustw, notowanych przez pisma.

Ten prąd interesu, jako wyłączny, jest nadzwyczaj silny, i jako taki działa niwelacyjnie na jednostki, które tutaj przybyły nawet z szerszym horyzontem pojęć.

Może nigdzie wyzysk pracy »inteligenta« w fabryce tak daleko nie jest posunięty, jak w Łodzi. Nie rozumieją ludzie, aby człowiek poza fachową pracą miał jeszcze inne aspiracye, a takie stowarzyszenia, jak »Lutnia«, a nawet sekcya techniczna tow. popier. przem. i handlu, ledwo wloką anemiczny żywot. Jednem słowem tutaj więcej niż gdzieindziej, człowiek jest bydlęciem, wołem, zarabiającym na strawę dziś, w celu — możności takiego samego zarobkowania jutro. Jeśli zaś zjawi się jakaś szersza »inicyatywa«, to tylko w duchu łódzkim. Parę lat temu kierownicy tutejszej »Lutni« (Niedzielski) proponują uczczenie składkowym obiadem rocznicy zaszczytnego zaproszenia do Spały, gdzie mieli możność uprzyjemniać chwilę trawienia przebywającemu tam podówczas Aleksandrowi III. W tym roku podczas koronacyi »Lutnia« śpiewa na rynku. Na skutek inicyatywy rejenta Płacheckiego podczas koronacyi odbywa się obiad z oficerami. Prezydent Bieńkowski występuje niedawno z inicyatywą wzniesienia drugiej cerkwi, tłómacząc, że istniejąca nie odpowiada potrzebom prawosławnej ludności (a tej ludności liczy Łódź niespełna 2 tysiące). Do jedynych chyba u nas należy fakt, *że miasto* przed kilku laty własnym kosztem obchodziło jakiś jubileusz tutejszego garnizonu.

Wszystko, co nosi uniform, czczonem jest służalczo. To też władze pozwalają sobie wszystkiego W połowie czerwca r. b. zdarzył się następujący fakt. Pomocnik komisarza, Pilipenko, spostrzegłszy na ul. Piotrkowskiej kobietę, sprzedającą mleko, zawezwał ją do opuszczenia miejsca, na którem sprzedawać nie wolno, a gdy go nie usłuchała, rozkazał stróżowi domu, przed którym to się działo, wylać babie mleko. Gdy ten rozkazu nie usłuchał, Pilipenko uderzył go w twarz; stróż jednak obelgi płazem puścić nie chciał, wskutek czego wywiązała się bójka. Przybyli na pomoc policyanci zawlekli stróża do cyrkułu i tam kazali go bić kozakom. Pod batami człowiek ten skonał, lecz oni zostawili go w celi, udając, że o tem nie wiedzą; dopiero żona stróża, przyszedłszy w południe po męża, gdy została do zajmowanej przez niego celi wpuszczoną, narobiła krzyku. Komisya lekarska, po zbadaniu trupa orzekła dosłownie: *umier po starosti* (umarł ze starości).

Do obniżenia poziomu moralności, poszanowania praw rząd przyczynia się wszelkiemi sposobami.

Powyższy przykład uczy dorosłych, jak się szanują prawa człowieka. Pedagogia dzielnie pomaga rządowi, W tutejszej szkole rzemieślniczej uczniowie szóstej klasy przed ostatecznym egzaminem obiecują profesorowi złoty zegarek, a gdy profesor wyraża niedowierzanie, przypominając fakt zeszłoroczny, kiedy obiecano mu również podarunek, a później obietnicy nie dotrzymano, — składają się uczniowie i kupują zegarek przed egzaminami. Egzamin wypada zadowalniająco. Profesor ma zegarek, a uczniowie naukę, jak zwycięża się przeszkody życiowe.

Ograniczamy się tymczasem tym krótkim szkicem, w którym staraliśmy się w ogólnych tylko zarysach przedstawić Łódź i dobrodziejstwa rządu, pod którego skrzydłami rozwija się przemysł. To centrum przemysłowe, które w innych warunkach mogłoby stać się perłą naszego kraju, ze swojem życiem intenzywnem, z ludnością przedsiębiorczą i energiczną, — nie posiada ze względów konkurencyi, jaką mogłoby wytworzyć okręgowi moskiewskiemu, niezbędnych dla rozwoju warunków, a pod czujnem okiem rządu wytworzył się tutaj stan, który porównać można chyba z życiem zbiorowiska nie ludzi, lecz bydląt. Zapewne i tutaj z czasem zapanować muszą inne stosunki, i Łódź musi wejść świadomie w sferę życia naszego społeczeństwa; jednak zanim to nastąpi, ogromną ilość energii społecznej trzeba będzie zużyć na wydobycie jej z tego stanu zacofania i demoralizacyi, w jakim obecnie jest pogrążona.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań 9. sierpnia.

List ks. Bartscha. Wybryk ukarany. Zabiegi hakatystów. Popieranie germanizacyi przez obywateli polskich. Zlot Sokołów.

Powszechne zdziwienie i niedowierzanie wywołała podana przez *Posener Tageblatt* wiadomość, że arcybiskup dał ks. Bartschowi *monitum* i kazał mu zawiadomić o tem organ tutejszych hakatystów. Druga część wiadomości, chociaż *Tageblatt* twierdzi, że otrzymał ją z regencyi, okazała się fałszywą, natomiast ks. Bartsch z własnej woli ogłosił w dziennikach polskich następujące pismo:

»Skoro, jak twierdzi *Posener Tageblatt*, wyższy urzędnik rejencyjny powiadomił go, że odebrałem »monitum« od mojej władzy duchownej, położę może koniec dalszym domysłom w tej sprawie, oświadczając z całą otwartością, że takowe odebrałem, a dodaję, że zasłużyłem sobie na nie porywczością odpisu mojego.

»Żyłem zawsze w najlepszych stosunkach ze współobywatelami narodowości niemieckiej, szanuję i szanowałem zawsze uczucie narodowości niemieckiej, nie chciałbym nigdy mu ubliżyć, co mi zupełnie niesłusznie imputują, bo wiem, jakto przykro wobec własnego uczucia. Gdy zaś skutkiem tego od dwu lat ciągłego podburzania przeciwko nam w rozdrażnieniu, w jakiem tu żyjemy, na chwilę się uniosłem i straciłem równowagę, żal mi tego, a przykro mianowicie, żem na ciernistą drogę mojego ukochanego Najprzewielebniejszego Arcypasterza dorzucił kamień.«

Z treści tego listu, zwłaszcza z wyrażenia o »kamieniu, rzuconym na ciernistą drogę arcypasterza,« oraz z wynurzeń *Tageblattu* widocznem jest, że wyższa władza świecka domagała się od wyższej władzy duchownej ukarania ks. Bartscha. Ten ostatni w poczuciu karności duchownej przyznaje się do winy, której nie popełnił, postępek jego bowiem nie na naganę, ale raczej na pochwałę zasługuje, co zaznaczają nawet pisma bardzo umiarkowane. Trudno przesądzać, nie znając szczegółowo przebiegu sprawy i pobudek wyroku, czy udzielenie napomnienia było właściwem. Ks. Bartsch napisał istotnie list dosyć szorstki i uchybił formie, ale nałożenie na niego chociażby najlżejszej kary bardziej jeszcze rozzuchwali na przyszłość. Niemców, którzy w wybrykach swych i nawet żądaniach, publicznie stawianych, przekraczają wszelką miarę.

Ów urzędnik-hakatysta, który do przewoźnika w Inowrocławiu wołał, żeby wziął bombę i całe polskie towarzystwo w łodzi wysadził w powietrze, na wezwanie władzy przyznać się musiał do winy i został przez zwierzchnika ukarany. Zdarzyło się to prawie jednocześnie z ukaraniem ks. Bartscha, co nasuwa przypuszczenie, że władza, karząc bardzo łagodnie zresztą, dziki i głupi postępek owego Niemca, chciała pokazać swoją rzekomą bezstronność.

Wyszła tu niedawno wydana przez hakatystów broszurka *Liste deutscher Geschäfte in der Stadt Posen*, zawierająca spis polecanych firm niemieckich, a obok niego spis kupców polskich, mających nazwiska niemieckie. Cel wydawnictwa jest jasny, chociaż o bojkotowaniu sklepów i rzemieślników polskich nie ma ani słowa. Wyraźniej sprawę tę przedstawia odezwa do kobiet niemieckich, dawniej już wydana przez hakatystów poznańskich, ale teraz dopiero ogłoszona w *Wielkopolaninie*. Odezwa zachęca kobiety niemieckie, żeby kupowały tylko u swoich, którzy wskutek obojętności ziomków wciąż bankrutują, podczas gdy przemysł i kupiectwo polskie, popierane świadomie, rozwijają się pomyślnie.

Niektóre pisma nasze w odpowiedzi na tę odezwę nawołują Polaków do wyłącznego popierania swoich. Gdyby taka separacya nastąpiła, nie byłaby ona dla nas na ogół korzystną. Niemcy bowiem stanowią w prowincyach polskich przeważnie zamożną klasę ludności. Przemysł nasz i handel przystosowane są w znacznej mierze do potrzeb spożywców zamożnych, jest to błąd wielki, ale odrazu, ani nawet w bliższej przyszłości usunąć go niepodobna bez strat dotkliwych. Stosunki przemysłowe i handlowe nie ułożyły się według odrębności narodowościowych. Są kupcy i rzemieślnicy Polacy, którzy liczą przeważnie na odbiorców niemieckich, są Niemcy, którzy żyją niemal wyłącznie z odbiorców polskich. Nie należy więc w tej sprawie zbyt mocno naciągać struny, tymbardziej, że kupcy i rzemieślnicy Niemcy, z małymi wyjątkami, są dosyć nieprzychylnie usposobieni dla agitacyi hakatystów, którzy rekrutują sobie zwolenników głównie między urzędnikami, pastorami, nauczycielami, obywatelami ziemskimi i t. d. Naturalnie, należy wszelkiemi siłami popierać przemysł polski i kupiectwo polskie, dobrze byłoby nawet w pewnych wypadkach, gdzie to może okazać się skutecznem, dowodnie pokazać zainteresowanym osobiście Niemcom, ile oni sami tracą na knowaniach hakatystów. Niebezpiecznem jest tylko stawianie, a zwłaszcza otrębywanie przedwczesne bezwzględnej zasady: »swoi u swoich«, bo gdyby wszyscy Niemcy do tej zasady stosować się zaczęli, my z pewnością wyszlibyśmy na tem gorzej, niż oni. Kupowanie w sklepach niemieckich, mających obsługę polską, nie jest takiem złem, jak n. p. powierzanie większych robót po wsiach przedsiębiorcom i rzemieślnikom Niemcom. Niejednokrotnie w pismach oskarżano o to obywateli naszych, a nawet księży. Ale gorsze jeszcze fakty podaje *Dziennik poznański*. W wielu majątkach polskich najważniejsze posady gospodarskie zajmują Niemcy, którzy w dostatku są stosunkowo w dwójnasób lepiej płatni, aniżeli oficyaliści Polacy. Ci Niemcy są daleko lepiej traktowani aniżeli ich koledzy Polacy i tak się czują pewnymi, że posługują się w stosunkach ze służbą niższą a nawet dziedzicem wyłącznie językiem niemieckim. To samo powiedzieć można o personalu nauczycielskim, męskim i żeńskim, po dworach polskich. Na różnych posadach w majątkach polskich tylu jest Niemców, że możnaby nimi, jak się wyraża korespondent *Dziennika* »spory kawał Afryki zaludnić.«

Jako przyczynek do charakterystyki podanych przez korespondenta uchybień, przytacza *Dziennik* kilka oburzających faktów z własnej praktyki. Redakcya otrzymała list od urzędnika gospodarczego w wielkim majątku, rodowitego Polaka, z napisem *Joseph S...* »Równocześnie — pisze *Dziennik* — otrzymaliśmy list od jednego z większych obywateli polskich; na kopercie tego listu u góry stoi wy-

drukowany kompletny adres owego pana, a więc imię, nazwisko, nazwa wsi, miejsce poczty, stacyi kolejowej i telegraficznej — wszystko po niemiecku.«

Podając powyższe fakty, *Dziennik*, który jednak od śmierci Dobrowolskiego trochę śmielej występować zaczyna, nie widzi tkwiącej w jego własnem postępowaniu smutnej ironii. Toć przecie tych samych lub podobnych do nich panów, którzy tysiące ludu polskiego oddają w opiekę oficyalistom Niemcom, którzy dzieci swoje wychowują po niemiecku, którzy w stosunkach osobistych posługują się językiem niemieckim — zalecał i nadal zapewne zalecać będzie jako urodzonych przedstawicieli i obrońców naszej sprawy narodowej.

Za kilka dni odbędzie się w Poznaniu Zlot ogólny sokołów polskich w państwie niemieckiem. Zdaje się, że zjazd będzie bardzo liczny, chociaż wobec zapowiedzianych z góry szykan policyjnych nie wielu mieć będziemy gości z innych dzielnic polskich. Dla uspokojenia policyi i przestraszonej przez hakatystów opinii niemieckiej ułożono bardzo skromny program zlotu, zapełniony prawie całkowicie ćwiczeniami gimnastycznemi. Do ostatniej chwili nie można być pewnym, czy policya, która już zakazała pochodu publicznego i ograniczyła liczbę gości, nie wymyśli nowych obostrzeń. Po tem, co dzieje się gdzieindziej n. p. w Prusiech Zachodnich i na Sląsku, wszystkiego, nawet zakazu spodziewać się wolno. Mamy jednak nadzieję, że zjazd bez szczególnych przeszkód się odbędzie i pomimo skromnego programu, wywrze wpływ dodatni, którego po nim oczekujemy. Zlot krakowski zrobił na Sokołach naszych dosyć przykre wrażenie, ale zapewniamy, że goście z Galicyi i innych dzielnic Polski, którzy do nas przybędą, znajdą w Poznaniu przyjęcie gościnne i serdeczne, a bodaj więcej pokarmu dla myśli i uczucia, niż mieli, w Krakowie.

J. M.

Z GALICYI.

Lwów 12. sierpnia.

Nieprawdopodobna pogłoska. — Co sprzyja najbardziej ruchowi ludowemu? — Zapowiedź zmiany namiestnika. — Głos starego parlamentarzysty o „Sobkach". = Koło polskie a niemczyzna w Galicyi.

Interesująca wiadomość obiegła przed kilku dniami dzienniki. Oto w wiedeńskich »sferach dziennikarskich« kursuje od pewnego czasu pogłoska, że przed najbliższemi wyborami do rady państwa zniesione być mają, dla Galicyi tylko (!), przepisy ustaw zasadniczych, zapewniające w Austryi swobodę prasy i wolność zgromadzeń. Innemi słowy, uszczęśliwionoby naszą prowincyę t. zw. »małym stanem wyjątkowym.« *Nowej Reformie*, która pierwsza wiadomość tę podała, nie wydaje się ona prawdopodobną, »nic bowiem nie stało się w Galicyi takiego, coby rząd do ograniczenia dla niej konstytucyi uprawniać mogło. Ruch ludowy i robotniczy rozwinął się w innych krajach wcześniej i bez porównania silniej niż u nas. Nie podobna więc uwierzyć, aby w Galicyi zaprowadzić chciano stan wyjątkowy dlatego, że kraj ten pod względem objawów życia społecznego nie jest wyjątkiem.«

W zupełności podzielamy to zdanie, istotnie bowiem trudno przypuszczać, aby rząd sam chciał się w podobny sposób kompromitować i narażać na śmieszność. Częściowe zawieszanie ustaw konstytucyjnych w Austryi należy do tych wyjątkowych zarządzeń, które podpisać musi cały gabinet, a zatwierdzić parlament. W każdym razie na usprawiedliwienie lub wytłómaczenie takiego nadzwyczajnego kroku musiałby rząd podać jakiekolwiek, pozorne bodaj, ale formalne powody, których w Galicyi, ze świecą w dzień szukając, nie znajdzie poprostu dlatego, że ich niema. Zapewne, ruch ludowy, wybitnie opozycyjny i występujący dziś już, rzec można, z siłą żywiołową, nie może być szczególnie miłym rządowi, — dopóki wszakże obraca się w granicach, ustawami konstytucyjnemi zakreślonych, a dotąd, o ile wiadomo, pomimo wyraźnej nieraz prowokacyi, nie było ani jednego wypadku przekroczenia tych granic, dopóty żaden szanujący się rząd nie weźmie na swoją odpowiedzialność stosowania do niego nadzwyczajnych środków represyjnych. Wprawdzie galicyjscy konserwatyści, przeciw którym agitacya ludowa bezpośrednio się zwraca, byliby bardzo radzi, gdyby rząd zdecydował się wstąpić na tę śliską drogę. Nie bez kozery hr. Stanisław Tarnowski w ostatnich czasach coraz to częściej zawodzi na żałosną nutę »stępienia zmysłu moralnego nawet u rządu« i gdyby to tylko zależało od niego lub jemu podobnych, mielibyśmy w Galicyi oddawna już nie »mały«, ale »wielki« stan wyjątkowy, a kto wie, czy by im i to wystarczało. Hr. Badeniego atoli o tego rodzaju gołębią naiwność posądzać nie ma dotąd powodów. Praktyczny polityk, za jakiego dzisiejszy premier austryacki uchodzi, wie chyba najlepiej, że spełniając *pium desiderium* najbliższych swoich przyjaciół, Tarnowskich, Koźmianów et consotium, im samym najgorszą wyrządziłby przysługę, sobie nie przysporzyłby chwały, a podniósłby tylko i wzmocnił propagandę ludową. Rzecz to wiadoma, że nic tak znakomicie nie sprzyja rozwojowi ruchów oppozycyjnych, jak prześladowanie i ucisk. Hr. Badeni znosząc zaraz na wstępie swych rządów stan wyjątkowy w Czechach, naprawił błąd, przez poprzedników jego popełniony. Niepodobna przypuszczać, aby miał teraz popełniać niebacznie o wiele cięższy błąd w Galicyi.

Przyzwyczajono nas wprawdzie do wszelkiego gatunku niespodzianek, i tem się tłómaczy, że wieści najdziwaczniejsze, mające najmniej cech prawdopodobieństwa, tak łatwo w społeczeństwie naszem wiarę znajdują. W tym wypadku zresztą dotychczasowe zachowanie się władz rządowych wobec ruchu ludowego faktycznie uprawniaćby mogło do przewidywania rzeczy wprost niemożliwych. Starostowie i komisarze na wiecach dopuszczają się szykan, drwiących z kardynalnych pojęć o porządku prawnym, interpretują ustawy w sposób wszędzie indziej możliwy, tylko nie w państwie »konstytucyjnem.« Bohaterstwa starostów gorlickiego innych, uchodzące za każdym razem bezkarnie, znajdują coraz to śmielszych naśladowców.

Doszło już do tego, że pierwszy lepszy komisarz samowolnie aresztuje osobę »nietykalną« posła na Sejm krajowy, literalnie bez najmniejszego powodu, bo za jakieś urojone, żadnym nie przewidziane kodeksem przekroczenie i odstawia go żandarmami do starostwa. Te i tym podobne przykłady jaskrawych nadużyć władzy, drażnią umysły, najspokojniejszych ludzi wysadzają z równowagi i ruchowi ludowemu jednają stale licznych i szczerych zwolenników nietylko wśród włościan ale i w sferach postępowej inteligencyi, czy jednak zyskuje na tem także powaga ustaw i rządu, to inne pytanie, na które odpowiedź nie trudno chyba znaleźć. Pytanie to nasuwa się prawdopodobnie często namiestnikowi ks. Sanguszce, który nie mogąc się pogodzić z konsekwentnie praktykowanym systemem milczących nadużyć, a rozmaitemi »wyższemi« wpływami co chwila krępowany, odjętą ma możność stanowczego wystąpienia przeciw rozwielmożnionej gospodarce podwładnych mu prowincyonalnych przedstawicieli rządu, kilkakrotnie już objawiał chęć ustąpienia z niewdzięcznego stanowiska i oddania go w »godniejsze« ręce. Za każdym razem wprawdzie,

gdy tylko wieść o tem przedostała się do dzienników, pospiesznie jej zaprzeczano, ostatniemi czasy atoli, jak słychać, zniechęcenie ks. Sanguszki doszło do najwyższego stopnia, a ostatecznej rezygnacyi jego z urzędu namiestnika spodziewać się można podobno już w bliskiej przyszłości.

Pisaliśmy niedawno o oburzeniu, jakie zapanowało wśród szlachty galicyjskiej z powodu wyniku wyborów do kilku rad powiatowych, gdzie zorganizowani chłopi własnych przeprowadzili kandydatów. Na dowód, że są jeszcze i pomiędzy szlachtą jednostki wyjątkowe, patrzące na stan rzeczy trzeźwo, przytaczamy poniżej ustęp z artykułu, jaki długoletni poseł ziemi sanockiej do parlamentu, E. G. zamieścił świeżo w tamtejszej *Gazecie*. Omawiając kwestyę reformy wyborczej i uchwałę Sejmu dolno-austryackiego, zaprowadzającą bezpośrednie wybory, przewiduje p. E. G., że za tym przykładem będą musiały pójść też niedługo Sejmy innych krajów. »U nas stawiać będą wprawdzie ci, którzy cieszą się dla siebie korzystnym stanem posiadania, przeszkody, lecz coraz więcej rozszerzające się między ludem poczucie obywatelstwa i mimo różnorodnych przeszkód, a raczej właśnie przez te przeszkody — jako konsekwencya prawidła: nitemur indebitum semper cupimusque negata — wzmagający się ruch ludu, który coraz głośniej i stanowczej domaga się bezpośrednich, tajnych wyborów i staje śmiało do walki o swobodę w wyborach, musi zwyciężyć przeciwników słusznej i sprawiedliwej sprawy. Widzimy to przy wyborach do rad powiatowych, w których zwyciężają kandydaci włościańscy w miejsce dotychczasowych manekinów czyli reprezentantów gmin. Zwycięstwo to pobudza tu i owdzie wyborców Koła pierwszego, t. j. posiadaczy większej własności do strejku, aby udaremnić ukonstytuowanie rady powiatowej! Taki strejk znamionuje nieszlachetność jego adherentów, świadczy o braku szlacheckiej odwagi, o tchórzostwie politycznem, o zwątpieniu w inteligencyę własną, a nie daje świadectwa politycznego wykształcenia, którem oni w połączeniu z hasłami »polskości i autonomii« tak się pysznią — przyczem zapominają o sprawdzonym aksyomacie: »Les absents ont toujours tort«. Tracą głos, wpływ swego stanowiska społecznego; zachowanie ich nie jest zgodnem z ustawami, szkodzi, pomimo bezustannie głoszonych przeciwnych twierdzeń, rzeczywistym postulatom narodowym i samorządu, wobec czego trudno będzie na długo utrzymać solidarność wszystkich, nie należących do kuryi włościańskiej. Wspólność z kuryą drugą, która nie koniecznie dobrze na teraźniejszych stosunkach wychodzi, staje się wątpliwą, zwłaszcza jeżeli władza i trybunały wykonują obowiązek przestrzegania ustaw. Nie chcemy podnosić honoru narodowego, opierającego się na przeszłości wzniosłej! Postęp ludzkości przejdzie nad sobkami do porządku i nie będzie szanował hamulca, wstrzymującego jego pochód!«... Tak scharakteryzował konserwatystów naszych szlachcic, jeden z najstarszych członków Koła polskiego w Wiedniu.

Przy nominacyi urzędników w świeżo zorganizowanem ministerstwie kolejowem nie uwzględniono wcale Polaków. Okoliczność ta wywołała w pewnej części prasy utyskiwania na »nowy żywioł germanizacyjny«, który jakoby z nowem ministerstwem wszedł do austryackiego gabinetu i nawet »w ministrach Polakach nie znajduje dostatecznej przeciwwagi«. Skargę wystosowano pod zupełnie niewłaściwym adresem. Nie chodzi w danym razie o przeznaczanych dla Wiednia urzędników Polaków, z których pożytek niewielki dla kraju, stokroć ważniejszem jest usunięcie języka niemieckiego z tych gałęzi administracyi państwowej w Galicyi, w których on do tej pory wszechwładnie panuje. Koleje, poczty, zarząd domen państwowych są ciągle jeszcze rozsadnikami niemczyzny, mimo że język polski uznano już dawno za urzędowy w sądzie, szkole i administracyi politycznej. Należało się więc zwrócić z wymówkami nie do ministra, od którego trudno żądać szczególnej dla kraju naszego życzliwości, ale w pierwszym rzędzie do Koła polskiego, które lekceważąc istotne interesy narodowości naszej, nie raczyło ani razu dotąd »głosem wielkiej narodowej reprezentacyi wielkiego kraju« upomnieć się o krzywdę, jaką niemczyzna wyrządza Galicyi.

Prawdzic.

Z KRESÓW.

Górny Śląsk, w sierpniu.

Walka z władzami. Zakazany pochód. Motywy zakazu. „*Kriegerverein'y*". Mowa p. Mencla. Skargi na Niemców. Koło śpiewackie „*Silesia*". Postępowanie policyi. Popieranie pieniężne niemczyzny. Procesy „*Germanii*" z ubezpieczonymi. Korzyść z nieznajomości języka niemieckiego.

Znaczna część życia naszego upływa na zatargach z władzami, które wyzyskują każdą najdrobniejszą nawet sposobność, aby nam byt utrudnić. Ile energii zużywamy na to, aby bronić się przed zamachami i nadużyciami, dyktowanemi z góry, ten tylko zrozumie, kto tu na miejscu temu się przygląda. Obrona zapewnionych nam przez konstytucyę praw, przez rząd na każdym kroku gwałconych, do tego stopnia nas wysila, że to bezwarunkowo odbijać się musi bardzo niekorzystnie w postępie naszym w dziedzinie oświaty i kultury. Innym razem dłużej zatrzymam się nad tym przedmiotem, obecną korespondencyę poświęcić muszę przedewszystkiem paru faktom z dni ostatnich, doskonale określającym stosunek władz tutejszych do żywiołu polskiego.

Wiadomo już czytelnikom *Przeglądu*, że katowickie Towarzystwo przemysłowców z okazyi 4 ej rocznicy istnienia chciało urządzić skromny pochód, na który jednak policya odmówiła zezwolenia. Jak należało się spodziewać, prezes tego towarzystwa zwrócił się ze skargą na policyę do prezesa regencyi, p. Bittera w Opolu. Odpowiedź, jaką tenże udzielił, ciekawym jest dowodem, jak wyższe władze administracyjne pozwalają sobie interpretować ustawy, mające zabezpieczać obywatelom pruskim wolność zgromadzeń i stowarzyszania się. Powodem odmowy ze strony policyi było jakoby to, że zarząd policyi obawiał się, iż pochód taki (a właściwie przejście z lokalu posiedzeń do ogrodu, gdzie miał się odbyć koncert) doprowadziłby do zakłócenia porządku publicznego. Pan prezes regencyi aprobuje w zupełności ten motyw odmowy, ponieważ »jak stwierdzono niedawno jeszcze wyrokiem sądowym, towarzystwo przemysłowców, chociaż zewnętrznie przybrało inną nazwę, dąży w rzeczywistości do narodowo-polskich, ku szerzeniu i popieraniu polskości skierowanych celów«. Podajemy w dosłownem tłómaczeniu końcową część tego ciekawego dokumentu, która brzmi tak:

»Reszta na zgromadzenie d. 4-go bm. zaproszonych towarzystw zajmuje takie samo lub podobne, niemczyźnie wrogie stanowisko. Przy takich warunkach w zamiarze urządzenia pochodu wspomnianych towarzystw należało się dopatrywać oczywistego wyzywania niemiecko usposobionej ludności i umyślnego ranienia jej uczuć narodowych i patryotycznych. Jeżeli przeto zarząd policyjny od podobnej, z gruntu nieuprawnionej demonstracyi obronił ludność niemiecką i z tego powodu odmówił zezwolenia na pochód, to postąpił sobie jedynie wedle obowiązku, a w niniejszym wypadku można mu tem mniej brać to za złe, że skorzystał z przysługującego mu na mocy paragrafu 10-go ustawy o stowarzyszeniach prawa, ileże skutkiem zaostrzenia naro-

dowych przeciwieństw, wywołanego przez agitacyą t. zw. wielkopolskiej partyi, obawiać się musiał, że ulicami miasta Katowic postępujący pochód polski mógłby wywołać nie tylko zatamowanie ruchu, ale także bezpośrednie zakłócenie publicznego porządku. Zażalenie wniesione muszę przeto jako nieuzasadnione odrzucić«.

Tak wygląda u nas równouprawnienie konstytucyjne! Bezprawie to jeszcze jaskrawszem się stanie, jeżeli dodamy, że w tydzień później, w tychże samych Katowicach, władza nie znalazła żadnego słusznego powodu na zabronienie olbrzymiego pochodu *„Kriegervereinów"*. Nie dosyć, że odbył się on z całą możliwą pompą, w jakiej Prusacy często miary nie mogą utrzymać, ale nie brakło też i podjudzań przeciwko Polakom i towarzystwom polskim. Nie zwracalibyśmy wcale uwagi na ten ostatni szczegół, gdyby nie to, że te *„Kriegerverciny"* wśród członków swoich posiadają znaczny procent Polaków, którzy za swoją lojalność przysłuchiwać się muszą mowom, zaprawionym jawną do nich nienawiścią. Na ostatnim zjeździe popisywał się w tym kierunku niejaki p. Mencel, którego mowa bardzo oburzyła członków polskich. Jeden z nich w liście do *Katolika* żali się na takie postępowanie, starając się przekonać p. Mencla, że Polacy są wbrew jego twierdzeniom najlepszymi, najwierniejszymi obywatelami państwa. »Dowodem naszej szczerości — mówi ten członek polski niemieckiego towarzystwa — jest służba wojskowa, jest kamractwo, które nas nawet do związku wojackiego zaprowadziło«. Jabym radził szanownemu korespondentowi i wszystkim jego rodakom, należącym do *„Kriegervereinów"*, aby się czemprędzej powypisywali z tych »związków«, jeśli nie chcą być w dalszym ciągu pomiatani i w uczuciach narodowych krzywdzeni. Usunięcie się kilku członków polskich z tego rodzaju towarzystw lepszą byłoby nauczką dla niemców-szowinistów, aniżeli rozwodzenie skarg po gazetach z powodu brutalności pruskiej i manifestowania swego lojalizmu, które nikogo nie przekonywa a dla nas całkiem jest zbyteczne.

Postępowanie władz policyjnych maluje doskonale następujące zdarzenie w Królewskiej Hucie, gdzie niedawno kółko śpiewackie *„Silesia"* obchodziło pierwszą rocznicę swego istnienia. Policya odmówiła pozwolenia na odegranie jakiejś niewinnej sztuki teatralnej w języku polskim, jak również na śpiew polski podczas obchodu. Pochód, początkowo dozwolony, również z powodu zakazu nie odbył się. Na miejsce uroczystości zeszło się 10 przedstawicieli policyi i żandarmeryi. W ciągu 5 minut musiano usunąć wszelkie wstęgi i oznaki biało-czerwone; nawet t. zw. butonierki, złożone z białych i czerwonych kwiatków, musieli uczestnicy od surdutów poodpinać. Pomimo takiej dzikiej bezwzględności wszyscy zgromadzeni umieli zachować krew zimną. Trzeba przyznać, iż jeśli gdziekolwiekindziej w Polsce znany komunał o gorącym temperamencie Polaków w czasach obecnych coraz rzadziej znajduje usprawiedliwienie, to u nas na Śląsku byłby zaiste zupełnie niezrozumiałym. Możemy obecnie śmiało uchodzić za naród najbardziej flegmatyczny, za wzór trzeźwości i rozwagi, które niestety czynią czasami wrażenie ślamazarstwa.

Niedawno w miejscowości Godulahütte główny nauczyciel Ściuk otrzymał 100 mrk. nagrody za dobre nauczanie dziatwy polskiej języka niemieckiego, czyli inaczej mówiąc, za skuteczne jej germanizowanie. Niemczyzna jednak nie tylko tu na miejscu jest popierana. Szowinizm tutejszych Niemców przekracza granice państwowe i ratuje zagrożoną niemieckość w Austryi. Oto w tych dniach rada miejska w Katowicach uchwaliła asygnować 15 marek dla jakiejś szkoły niemieckiej w Hohenstedt na Morawach. Czy ta niewielka sumka wywoła wielki skutek, można wątpić, ale fakty takie zbyt często zachodzą, aby im można było odmawiać zupełnie znaczenia. Władza oczywiście w tych faktach nie dopatruje się wcale znamion agitacyi wielkoniemieckiej.

Pisma tutejsze opisują szczególny zaiste wypadek, gdzie niedokładna znajomość języka niemieckiego okazała się w skutkach korzystną. Tyle już razy skazywano Polaków na dość ciężkie kary jedynie za nieznajomość języka niemieckiego, że wprost przeciwny fakt warto tutaj zaznaczyć.

Berlińskie towarzystwo asekuracyjne od gradobicia *„Germania"* zażądało od ubezpieczonych nadzwyczaj wielkich dopłat, dochodzących aż do 300% pierwszej wkładki. Wielu włościan tutejszych odmówiło wszelkiej dopłaty i pozwoliło się skarżyć. W pewnej okolicy wytoczono procesy wielu takim gospodarzom, z których 56 wygrało na tej podstawie, że nie władają dostatecznie językiem niemieckim i że obstawali przytem, iż towarzystwo ich oszukało. Kilku chłopów w pierwszej instancyi przegrało, ale w drugiej napewno wygrają, a około 50 procesów jest jeszcze do załatwienia. Ogólnem jest mniemanie, że większa część chłopów wygra je, jeśli tylko udowodnią nieznajomość języka niemieckiego. W tych samych procesach Niemcy i osoby z inteligencyi polskiej, dobrze władające językiem niemieckim, przegrają, bo sąd nie uzna u nich wykrętu, że nie wiedzieli, o co chodziło i że zostali oszukani. *Germania* zresztą w wielu wypadkach nie dochodziła swych pretensyj, z góry będąc przekonaną, że to będzie bez skutku.

Leszek.

Z WYCHODZTWA I KOLONII.

Toledo w stanie Ohio, w lipcu.

Jezyk polski w szkołach publicznych i szkółki parafialne. Postępowanie duchowieństwa. Piknik na rzecz pomnika Kościuszki. Dom związkowy. Przyszły kongres katolicki i orędzie komitetu.

Wielki ruch panuje obecnie w amerykańskiej Polonii. Kilka ważnych wypadków zebrało się naraz, wprowadzenie języka polskiego do szkół publicznych w Milwaukee, wielki piknik na rzecz pomnika Kościuszki w Chicago, założenie i poświęcenie kamienia węgielnego pod pierwszy dom związkowy, nareszcie przygotowania do kongresu katolickiego w Buffalo, wszystko to razem porusza umysły i daje obfity materyał do polemiki w pismach. Sprawa języka polskiego w publicznych szkołach została poruszona przez milwauckie »Towarzystwo Oświaty imienia Staszyca« i skończyła się zwycięstwém języka polskiego nie nad Amerykanami, jakby kto mógł przypuszczać, ale — polskimi księżmi w Milwaukee. Wystąpienie księży niepatryotyczne i brutalne, z całym aparatem przekleństw i wywołań z ambony, z przymuszaniem ciemnego ludu do podpisywania protestu, którego nie rozumiał i któremu nie sprzyjał, odsłoniło w całej nagości ranę trawiącą polsko-amerykańskie społeczeństwo. Chodziło księżom milwauckim, jak przynajmniej utrzymywali, o interesy szkół parafialnych, któreby musiały stracić część uczniów na rzecz szkół publicznych. Nie ulega wątpliwości, że pewna ilość rodziców będzie wolała oddawać swoje dzieci do znanych ze znakomitego urządzenia publicznych szkół amerykańskich, odkąd zniknie niebezpieczeństwo wynarodowienia się dziecka w angielskiej szkole, niż korzystać z naszych szkółek parafjalnych, które nie zadawalniają najskromniejszych wymagań; ale kto zna tutejszą polską pobożność, ten nie może obawiać się o losy tych szkółek; będą one i nadal zapełniane dziećmi, które zaraz po przystąpieniu do pierwszej komunii pójdą pracować w amerykańskich »szopach« (fabrykach) i »sztorach« (sklepach). Przeciętni rodzice polscy w Ameryce jeszcze nie ro-

zumieją korzyści, wypływających z wyższego wykształcenia i ze spokojnem sumieniem skazują swoje dzieci na los najcięższej pracujących i najgorzej płatnych wyrobników. Niechęć polskich rodziców do publicznych szkół, podtrzymywana przez księży, jest przyczyną tego zjawiska, że Polacy, którzy wszędzie w Europie dzięki wrodzonym zdolnościom zajmują wybitne stanowiska, w Ameryce stoją na szarym końcu i nie posiadają tego znaczenia, które by mogli i powinni byli posiadać ze względu na swoją liczbę, zdolność, pracowitość, uczciwość i stosunkową zamożność.

Rozdwojenie i niezgoda, wyrastające na tle stosunków kościelnych, dają się nam tutaj we znaki na każdym kroku. Za jaskrawy przykład może służyć ogólno-polski piknik, urządzony 4. lipca na rzecz pomnika Kościuszki. Pomimo że urządzeniem zabawy zajmował się komitet złożony z przedstawicieli obydwóch obozów, pomimo że na marszałka pochodu został wybrany niezwiązkowiec, w stanowczej chwili towarzystwa kościelne cofnęły się i odmówiły swojego udziału. Ucierpiała na tem kasa komitetu budowy pomnika, a zyskał Związek N. P., który dowiódł, że on jeden jest zdolnym wznieść się po nad wszelkie względy stronnicze, że on jeden reprezentuje w Ameryce Polskę w zmniejszeniu. Interesy Związku idą świetnie. Co miesiąc organ Związku »Zgoda« ogłasza długi spis nowoprzybyłych członków, a sprawozdanie finansowe wykazuje poważny remanent po pokryciu wszystkich wydatków. Zdaje się, że przeciwnicy Związku zawiedli się na swojej taktyce; ustawiczne obrzucanie poważnej i na szeroką skalę pomyślanej instytucyi fałszywymi zarzutami, otwiera ludziom oczy i wywołuje wręcz przeciwny skutek. Wszystko, co światlejsze i bardziej rozwinięte pod względem politycznym, garnie się pod sztandar Związku, który otwiera swoje gościnne podwoje dla każdego uczciwego Polaka, nie pytając go o religijno lub społeczne przekonania. Gdy inne organizacye mają charakter stronniczy, a czasami wprost koteryjny, Związek robi wrażenie małego państwa polskiego. Państwo to może z małego stać się wcale znacznem i sądząc ze wszystkiego, zdaje się, że się zanosi na to. Przed paru dniami, 12. lipca, Związek obchodził uroczyście poświęcenie kamienia węgielnego pierwszego domu Związkowego, tego swojego kapitału, jak się wyraził kapłan dopełniający obrządku. Kapitał ten przedstawia się na planie w postaci pięknego trzypiętrowego gmachu i będzie mieścić biuro rządu centralnego, bibliotekę i muzeum, drukarnię Zgody, audytorya dla odczytów i wykładów. Piękna i podniosła uroczystość odbyła się w obecności tłumów ludu, przy dźwiękach narodowych melodyi, a obecność kapłana katolickiego i jego rozumne i zacne przemówienie dowiodły aż nadto, że ci księża i świeccy obywatele Polacy, co mają radzić w Buffalo nad obaleniem Związku mają coś innego na myśli, niż obronę religii, której nikt i nic nie zagraża. Orędzie komitetu zwołującego kongres już ukazało się w pismach. Związek został nazwany w nim plagą trapiącą polsko-amerykańskie społeczeństwo. Do walki z tą »plagą« są zaproszeni wszyscy polscy księża w Ameryce; dla nadania tej krucyacie powagi postanowiono zaprosić kilkunastu duchownych i świeckich dygnitarzy polskich ze starego kraju. Może choć oni wywdzięczając się za ten wątpliwy i zapewne niespodziewany zaszczyt, wytłómaczą listownie inicyatorom kongresu, że żaden uczciwy i światły Polak bez względu na swoje osobiste zapatrywania nie może przyłożyć ręki do siania niezgody i nienawiści między rodakami, których losy rzuciły na obczyznę.

T. S—ki.

Orenburg, w lipcu.

Gdzie nas niema? „Stolica stepów". Ogólny charakter wychodztwa. Brak łączności. Unici. Uczucia narodowe. Pamiątki. Rzadki gość.

Doprawdy, niema chyba zakątka w Rosyi europejskiej, dokądby nas wicher nie zagnał. Dawni wygnańcy polityczni zanieśli imię polskie na krańce dalekiego wschodu, my — niesiemy je dzisiaj dobrowolnie, parci koniecznością i uciskiem zaborczego rządu w te same strony. Ślepy dziejowy fatalizm pchnął nas na drogę tułactwa, idziemy też po niej bez protestu, a częstokroć nawet bez najmniejszego szemrania, łudząc się w dodatku nadziejami, że to posłuszeństwo i ta bierność lepszą nam przyszłość zgotuje.

Udostępnienie Polakom urzędów w głębi państwa, a pozbawienie ich możności ubiegania się o odpowiednie pola do pracy w kraju, stało się powodem nader smutnego zjawiska: oto w społeczeństwie naszem zakorzeniło się mniemanie, że wyjeżdżający na wschód jadą po złote runo, że tam szybko wspinać się będą po szczeblach karyery, aż zatrzymają się na najwyższych, poczem wrócą do kraju z pełnymi trzosami. Temu zawdzięczać należy, iż nietylko przemysł nasz i handel mają swoje placówki w Rosyi — co zresztą jest rzeczą całkiem naturalną — ale, że na wszystkich innych stanowiskach w dziedzinie pracy społecznej spotykamy Polaków, których wyjazd, niestety, zbyt często da się położyć na karb szczególniejszego zamiłowania do służby rządowej i do wysokich „*okładów*".

To też bynajmniej dziwić się nie należy temu, *że nawet* tu, na wschodzie, *w „stolicy stepów"*, w Orenburgu*), istnieje kolonia polska i to tak liczna, jak w mało którem mieście za Wołgą. Na 45.000 ludności jest nas tu blisko 500 rodzin polskich, przyjmując zaś, że rodzina składa się przynajmniej z 3 osób, otrzymamy w przybliżeniu 1.500 osób polskiej narodowości, co stanowi z górą 3% ogółu mieszkańców. Ma się rozumieć, nie liczymy tu zupełnie ludzi polskiego pochodzenia, którzy prócz nazwiska nic więcej, świadczącego o ich polskości, nie utrzymali. A i takich jest sporo. Nasz wicegubernator np. nazywa się *Sokołowskij* i jest rosyaninem, sekretarz gubernialny, p. *Myszkowskij* także za przedstawiciela »wielkiego narodu« uchodzi, a przecież oba te nazwiska są rdzennie polskie. Dla uzupełnienia należy jeszcze wspomnieć o Polkach, pozostających w związkach małżeńskich z Rosyanami i przez to samo nie mających już żadnej lub — w najlepszym razie — bardzo słabą łączność z rodzimem społeczeństwem. Na ogół więc Polaków w Orenburgu będzie znacznie więcej.

Cała ta masa wychodztwa składa się przeważnie z inteligencyi. Mamy tu inżynierów w służbie kolejowej i drogowej, lekarzy, prawników w sądownictwie, aptekarzy, urzędników w Banku Państwa, w akcyzie, w instytucyach prywatnych, a nie brak też i wojskowych. Ludzie ci dobrowolnie lub drogą tranzlokacyj urzędowych skazani na wygnanie,

*) Gub. Orenburska, jedna z krańcowo-wschodnich, zajmuje przestrzeń $1^1/_2$ raza większą od obszaru Królestwa Polskiego. Północna jej część jest górzysta i niepozbawiona lasów, natomiast południowa przedstawia się jako bezdrzewny, pusty a rozległy step. Klimat tu suchy, lądowy. Latem upały dochodzą do czterdziestu kilku stopni R. przy nader małej ilości opadów atmosferycznych. W zimie temperatura spada do 40° niżej zera. — Orenburg, główne miasto, położone przy ujściu Sakmary do Uralu, jest ogniwem, łączącem handel wschodu z zachodnim. Samo miasto jest niebrzydkie; ma jednę ulicę o wyglądzie europejskim, resztę w stylu azyatycko-rosyjskim. Ulice w postaci linii równoległych, przeciętych równoległemi, są niebrukowane; masa snujących się ustawicznie karawan wielbłądów wzbija tumany kurzu, a stąd pobyt w mieście w miesiącach letnich, przy spiekocie i suszy, jest bardzo przykrym. W zimie znów dotkliwie dają się mieszkańcom we znaki zawieje śnieżne t. zw. „*burany*". *Przyp. Red.*

aczkolwiek nie najgorzej uposażeni, nie mogą mieć jednak żadnych różowych widoków na przyszłość, bo i tu niezapominają o ich narodowości. Na potwierdzenie słów powyższych pozwalam sobie przytoczyć następujący przykład. Dr. X. służył przez lat kilka w charakterze młodszego lekarza dywizyi w okręgu wojskowym kazańskim. Przed trzema laty pułk, do którego należał, przeniesiono do Królestwa, jego zaś, jako polaka, zostawiono w miejscu, poczem, bez żadnego awansu, przeznaczono go do obwodu kozaków uralskich. Dotychczas jest p. X. młodszym lekarzem, kiedy jego koledzy, Rosyanie, dawno już dosłużyli się stopnia lekarzy dywizyjnych. Władze wojskowe baczą też bardzo na to, aby w jednej i tej samej dywizyi nie znajdowało się dwóch lekarzy polaków. W ten sam sposób ograniczone są awansy oficerów w armii czynnej, a i w innych gałęziach nie brak podobnych przykładów.

Dodać należy, że tutejsi wychodźcy nasi, oddaleni o 3.000 wiorst od kraju, wtłoczeni w zupełnie inne warunki życia, narażeni są na tysiączne niewygody i udręczenia (chociażby z przyczyn klimatycznych tylko) i dla tego — nie mogą i nigdy nie będą czuli się dobrze pod promieniami palącego słońca wschodu, w ojczyznie Puhaczewa. Wielu też pośród nich jest takich, którzy żałują zbyt wcześnie i porywczo powziętej decyzyi i emigracyą swoję stanowczo poczytują za krok fałszywy, ale przykuci do miejsca obowiązkiem i względami materyalnymi, dziś już o powrocie tak łatwo myśleć nie mogą.

O jakiemkolwiek skupieniu, zorganizowaniu tej licznej kolonii polskiej mowy być nie może. Najprzód, kolonia ta zbyt wielu ma członków, ażeby bez narażenia się na nieprzyjemności ze strony policyi mogła myśleć o ściślejszem połączeniu się, o zespoleniu rozstrzelonych sił swoich. Smutny przykład niewinnego »Sokoła« Odeskiego długo jeszcze będzie tamował wszelkie w tym kierunku usiłowania. Powtóre, pewne zasklepienie moralne i odrętwienie umysłowe, spowodowane brakiem bezpośrednich stosunków ze światem cywilizowanym, usunęły na daleki plan potrzebę wytworzenia ogniska z charakterem innym jak zebrania »wintowe« lub zwykłe towarzyskie herbatki i wieczorki.

Dlatego też nawet w życiu i w stosunkach prywatnych panuje u nas separatyzm. Kolonia podzieliła się na kółka, które trzymają się z daleka od siebie, połączone bardzo wątłą nicią wzajemnej znajomości. Jedyny łącznik i to nie oparty na żadnych trwalszych i głębszych podstawach, a czysto zewnętrzny, stanowi kościół.

Mamy tu mały, ale dość schludny kościołek, powierzony opiece staruszka proboszcza, zesłańca z 63 r., który długie lata przepędził na Syberyi, a dziś jest człowiekiem złamanym i wykolejonym. W kościołku tym w każdą niedzielę i święto gromadzi się ludność katolicka, — przeważnie Polacy, z małą domieszką Niemców (Bawarów i Sasów), którzy i tu dotarli, jako koloniści i kupcy. Tam też można się dopiero zoryentować i pewnego wyobrażenia o całości kolonii polskiej nabrać. Prócz inteligencyi mamy tu trochę rzemieślników i ludzi bez określonej profesyi.

Do ostatnich należą głównie Unici, zesłani za »krnąbrność i nieposłuszeństwo« względem władzy. W samym Orenburgu jest **16** rodzin unickich, w powiatach znacznie więcej, zwłaszcza w Czelabińskim, gdzie do **40** rodzin przebywa. Wszyscy oni zachowali duch »niespożyty i wielką wiarę w słuszność i sprawiedliwość swojej sprawy. Los swój znoszą w pokorze i dotychczas nie było między nimi wypadku zrezygnowania i przejścia na prawosławie. Pożera ich ogromna tęsknota za krajem rodzinnym i trwa w nich nieprzejednana chęć powrotu do swoich. Każdego, kto świeżo z kraju przyjedzie, skwapliwie rozpytują o nowiny, a niema słów na określenie ich radości i rozczulenia, gdy zdarzy im się spotkać kogoś takiego, co mniej więcej zna Podlasie, widział ich wioskę, miasteczko, lub po po okolicznych dworach bywał. Materyalnie wszyscy dają sobie radę, żyją w zgodzie i pomagają sobie, jak mogą, o ile zajdzie tego potrzeba.

Najstarszymi przedstawicielami kolonii polskiej są u nas dwaj zesłańcy z 63 r., którzy nie skorzystali z manifestu koronacyjnego Aleksandra III i zaniechali powrotu do ojczyzny. Jeden z nich, kupiec, posiada duży sklep galanteryjny i prowadzi na dość szeroką skalę handel obuwiem warszawskiem, które, jak wszędzie w Rosyi, cieszy się tu dużem powodzeniem. Opłaca mu się to sowicie.

Drugi — utrzymuje piekarnię i restauracyę z nieco mniejszym zyskiem wobec współzawodnictwa ze strony Niemców.

Co do uczuć narodowych, to te dość żywem biją tętnem w kolonii tutejszej. Należy to zawdzięczać temu, że większość wychodźców, to ludzie zaledwie od lat paru bawiący tutaj. Patryotyzm ich jednak da się określić mianem sentymentalnej nostalgii. Oczywista rzecz, że śród stepów, na których prócz „*kowylu*“ i więdnącego piołunu nic nie ma, muszą oni tęsknić za żywymi krajobrazami, których wspomnienie uwieźli z sobą z nad Wisły, Niemna i Korynia.

Polityczne ich przekonania są najczęściej w zupełnej zgodzie z ich urzędowemi stanowiskami. Przykładów wynarodowienia mało, mniej niż gdzieindziej; zdarzyło mi się jednak spotkać w jednem z mniejszych miasteczek pewnego urzędnika akcyzy, który od lat dwudziestu przebywa tutaj i jest rozbitkiem, co się zowie. Zapomniał on mówić po polsku, a w umyśle jego zatarła się już doszczętnie świadomość odrębności narodowej. Ofiar takiej smutnej asymilacyi dostarcza najczęściej alkoholizm; łamie on wiele jednostek, a wyjątkowe warunki dzielnie mu do tego dopomagają. Brak książek i gazet polskich, apatya w kierunku rozbudzenia życia umysłowego, niezdolność zupełna do zaradzenia złemu wspólnemi siłami — oto przyczyny, dzięki którym nawet ludzie inteligentni szukają ukojenia dla trosk swoich w wyskoku.

Taka jest ogólna fizyognomia naszego wychodźtwa w Orenburgu. Nazwa tego miasta nie powinna być obca żadnemu Polakowi, dzięki owym słynnym batalionom, do których posyłano naszą młodzież rozmaitymi czasy. Tu cierpiał Tomasz Zan za sprawę wileńską wraz z kilkoma towarzyszami, tu po 63 r. służyło wielu naszych, głównie w batalionie Orskim, gdzie też czas pewien w charakterze prostego żołnierza przebywał z rozkazu carskiego rewolucyjny pieśniarz ukraiński, Taras Szewczenko. W stepach orenburskich i turgajskich bawił Gustaw Zieliński i tam powstał jego »Kirgiz«, wreszcie w samym Orenburgu mieszkał na zesłaniu Tadeusz Korzon, autor tylu cennych prac historycznych. Pamiętają go tam dobrze i opowiadają, że utrzymywał się z lekcyi i z kolorowania fotografii. Zachowała się też śród miejscowej inteligencyi pamięć o zesłanym hr. Chrapowieckim, który był jedynym podówczas... nauczycielem muzyki w Orenburgu i zapoznał bogatsze a postępowe Tatarki z fortepianem.

Dziś już wyjątkowo tylko i to za błahą sprawę przyszłą kogo do Orenburga. Przyjeżdżamy tu zato z własnej woli i — czyż naprawdę tylko za chlebem i dla chleba? Podobno. A jednak, że ten chleb jest gorzki, o tem nie wątpi nikt, kto dłuższy czas w Orenburgu bawi, a że za daleki i za obcy, o tem karta geograficzna każdego dowodnie przekonać może.

Mimo komunikacyi kolejowej przybywa się do Orenburga z Warszawy dopiero na szóstą dobę, to też rzadko miewamy tu gości z kraju, a rzadziej jeszcze sami możemy

jeździć. Czasem zawita ktoś z krewnych lub bliskich, przywiezie z sobą trochę powietrza ojczystego, trochę myśli świeższych z szerokiego świata.....

Tem się przez pewien czas żyje, tem podtrzymuje słaby związek z ojczyzną i z..... Europą. Zresztą głucho tu i smutno. *Jazon.*

PRZEGLĄD PRASY.

= *Słowo polskie* zirytowało się uwagami o solidarności Koła polskiego w Wiedniu, zamieszczonemi w poprzednim numerze naszego pisma. Organ demokratów »starego autoramentu« wylał z tego powodu na przeciwników bezwzględnej solidarności sporo frazesów, brzmiących nawet niebrzydko, nic jednak właściwie nie mówiących i nikogo nie zdolnych przekonać. Z autorem tych wynurzeń, pisanych w stylu *Przełomowym*, co je dostatecznie charakteryzuje, polemika byłaby zbyteczną, mogłaby zresztą polegać jedynie na oddaniu mu w wyłączną własność *retour* wszystkich zarzutów i komplementów, jakie uznał za stosowne pod rozmaitemi wysłać adresami. Jednego tylko szczegółu nie można pominąć milczeniem. Jak wiadomo, zaznaczyliśmy między innemi, że »przeciwnicy bezwzględnej solidarności postawili i wciąż stawiają pytanie: kiedy, w jakiej sprawie solidarność Koła polskiego okazała się niezbędnie potrzebną i pożyteczną dla kraju?« i dodaliśmy, że na to pytanie nikt dotychczas nie odpowiedział. Otóż stwierdzamy, że polityk *Słowa* również odpowiedzi na to proste pytanie znaleźć nie mógł czy nie chciał. To pierwsze jest bardziej prawdopodobnem. Natomiast uniesiony zapałem bronienia nie tęgiej sprawy, ani się spostrzegł zapewne, jak łatwo popełnić niedorzeczność, dającą prawo do nieśmiertelności.

„Więc się już w jasny dzień zaprzecza światłu (!?!), więc wolno (*sic*) już pytać się, w jakiej sprawie solidarność Koła polskiego okazała się niezbędnie potrzebną dla kraju — więc wolno (*sic*) już kwestyonować, czy polityka reprezentacyi narodowej we Wiedniu pilnowała interesu narodowego w Austryi i czy dla niego co zrobiła??".

A myśmy dotąd myśleli, że nietylko *wolno* ale i *trzeba*, zdawało nam się bowiem i zdaje, że w całym cywilizowanym świecie panuje zasada, przyznająca niezależnej prasie obowiązek i prawo swobodnej krytyki, bez której uczciwe spełnianie zadań dziennikarskich czy publicystycznych jest niemożliwem. Kto tej zasady, powszechnie zresztą uświęconej, nie uznaje, kto w piśmie, przyznającem się do »niezależności« twierdzi przeciwnie, nad tym szczerze ubolewać można.

= Rozmyślaniom na temat ruchu ludowego i przyszłego ugrupowania się stronnictw politycznych w Galicyi oddaje się p. Tadeusz Smarzewski w nrze 27 *Kraju*:

„Wybory do Sejmu odsłoniły nagle przed oczyma zdumionej prowincyi rozgałęzioną organizacyę o kierunku radykalnym, obejmującą lud wiejski w powiatach zachodnich. Rezultat wyborów nie obalił dawnej większości sejmowej, ale zelektryzował całe społeczeństwo, rzucił popłoch na warstwę rządzącą, ożywił niezadowolenie ludu, stał się zarodkiem nowej agitacyi na przyszłość. Wszechpotężny wpływ rządu okazał się nagle słabym i do zrównoważenia wpływów przeciwnych niezdolnym. Powaga władz autonomicznych i obywateli, kierujących niemi, rozpłynęła się w mglistej nicości. Wobec przewagi pism agitacyjnych trudno było dopatrzeć się jakichkolwiek skutków literatury ludowej, wytworzonej przez dotychczasowych przewodników społeczeństwa. *Cały ten proces przeobrażenia się ma tak wyraźne znamiona siły, rozpędu, trwałości, iż wszyscy czują, że wybory były dopiero uwerturą a nie epilogiem*".

No, przecież raz w »silnych głowach« zaświtało, pomyśli sobie czytelnik. Przedwczesna jednak radość! Czytajmy dalej:

„Lud się obudził i to jest faktem dodatnim. Ale obudziwszy się, zaraz w pierwszej chwili użył swej pełnoletności na złe (?!) i to jest godne ubolewania. Uśpić go już nie można. Można jedynie starać się oto, by inaczej sił swoich używał".

Ubolewa więc były redaktor *Nowej Reformy* nad dalszemi postępami agitacyi ludowej, która chce stypę wyprawić Kołu polskiemu w Wiedniu, załamuje ręce na myśl o prawdopodobnem pogrzebaniu bezwzględnej solidarności Koła, i odwraca się ze wstrętem od »solidarności, wskrzeszanej od czasu do czasu« dla spraw ogólnego znaczenia. W dalszym ciągu zadaje sobie p. Sm. pytanie, „czy w istocie zwycięstwo żywiołów radykalnych jest na znacznej przestrzeni kraju możebne?" Odpowiedź brzmi twierdząco i o tyle jest trafną, zaciemniają ją jeno tchórzem podszyte powątpiewania, czy stronnictwo włościańskie w Galicyi istotnie będzie »przedmurzem osłaniającem kraj od anarchii«. Trudno także odmówić trafności przepowiedniom p. Sm. o zupełnem zlaniu się w niedługim czasie dawnej t. zw. lewicy sejmowej z konserwatywną większością.

„Śmiało przepowiedzieć można, że zwycięstwo takie (ruchu chłopskiego) dokonałoby tego, co się od lat paru powoli odbywa: zatarłoby do reszty różnicę między przewódcami dawniejszej demokracyi galicyjskiej, a temi żywiołami, które w obozie konserwatywnym odznaczają się prawdziwą żywotnością i płodnością"... „Trudno dostrzec różnicę między najtęższemi umysłami stronnictwa krakowskiego a wielu koryfeuszami lewicy, dzieli ich nie sprzeczność poglądów, lecz tradycya dawnych walk politycznych"... „Jeszcze krok jeden, a wspólne niebezpieczeństwo zbliży dawnych przeciwników. Nazwy klubów (nawet!) mogą pozostać te same. Tu idzie o rzecz, nie o formę"...

Dla poparcia słów swoich powołuje się p. Sm. na Stanisława Szczepanowskiego, który w »Nędzy Galicyi« przed ośmiu już laty mówił o stronnictwie demokratycznem i konserwatystach krakowskich, jako o dwóch partyach »współpracujących, choć niby przeciwnych«. Tak niewątpliwie, ale jak słodkiem i wdzięcznem to współpracownictwo ze Stańczykami, odczuł zapewne sam na sobie najlepiej p. Szczepanowski, skoro przyszedł wreszcie do przekonania, że bezpłodną i nie wartą trudu jest praca parlamentarna w takich warunkach i ostatecznie zdecydował się na zawsze ją porzucić. Pomijając zresztą osobiste pobudki wycofania się p. Szczepanowskiego z życia politycznego, nie potrzeba wcale daru jasnowidzenia, żeby przewidzieć, że w niedalekiej przyszłości dwa tylko w Galicyi staną przeciw sobie stronnictwa: konserwatywno-liberalne, w którem dawna lewica faktycznie już zagrzęzła i demokratyczno-ludowe, zdobywające sobie coraz to trwalszą w społeczeństwie podstawę. Tak stanie się, tak stać się musi naturalnym porządkiem rzeczy, którego nie zmienią ani frazesy o anarchii, ani dzwony alarmowe, głoszące, że »w kraju strach jest wielki«. Nie w kraju, panie Smarzewski, ale w obozie stańczykowskim, do którego wstępują dawni redaktorowie demokratycznych organów, a który mimo to drżenie posad swoich czuje!

= Dr. Delbrück profesor uniwersytetu berlińskiego, redaktor czasopisma *Preussiche Jahrbücher*, jeden z tych, którzy umieją zdobyć się na spokojne, objektywne traktowanie kwestyi polskiej, pisał niedawno w swojem piśmie, że polityka pruska nie zgermanizuje Polaków, lecz jeszcze szkodę przyniesie państwu pruskiemu pod niejednym względem. Zdanie to nie przypadło do gustu roznamiętnionym germanizatorom, którzy go za to okrzyczeli zdrajcą ojczyzny. W odpowiedzi na to odzywa się profesor Delbrück:

„Proszę przeciwników moich, aby zaprzestali wyzwisk, a spokojnie odpowiedzieli mi na pytane: Jaki też przebieg i koniec weźmie ten dzisiejszy system germanizacyjny, przez nich tak zachwalany?"

„Przecież każdy spis ludności, każde wybory, każda wiadomość z Poznania potwierdza, że polskość gwałtownie się szerzy, a niemczyzna stale się cofa. Czyż mniemacie, że jeżeli dalej prowadzić będziemy system teraźniejszy, albo tu i owdzie go zaostrzymy, o ile to w ogóle jest możliwe w państwie cywilizowanem, że wtedy pewnego dnia polski ruch obecny nagle ustanie? Że nagle Niemcy postąpią naprzód, a Polacy się cofną? Żaliż mniemacie, że Polak, którego zmuszono w szkole do wyuczenia się mniej lub więcej języka niemieckiego, że on z tego powodu zbliży się choćby na włos do niemczyzny, a nie zostanie raczej wyposażony w najlepszą broń do zwalczania niemczyzny? Nie chcę bynajmniej sobie wyłącznie przypisywać słuszności poglądów i zapatrywań, ale pragnę, aby tę nieskończenie ważną kwestyę opinia publiczna niemiecka zbadała przedmiotowo i bez namiętności.

„Nie wystarcza to, gdy stawia się przed sądem i złoży z urzędu niemieckiego burmistrza, który, ażeby zapobiedz starciom, zadawalnia się mieszaną niemiecko-polską uroczystością wzniesieniem okrzyku na cześć cesarza, nie pozwalając na odśpiewanie hymu narodowego; nie wystarcza, że gazety szukają w kodeksie karnym paragrafu, ażeby sadzać na ławie oskarżonych ks. Bartscha, który nieznanego Polaka za to wyzywa, że tenże pisał do niego po niemiecku. Takimi środkami nie przytłumia się wielkiego narodowego ruchu. Mamy inne, lepsze, skuteczniejsze środki, ale, aby ich módz użyć, potrzeba poskromić swe namiętności do tyla, ażeby znieść przedmiotową ocenę teraźniejszych stosunków.

Końcowe cztery wiersze zdają się dowodzić, że prof. Delbrück nie jest absolutnym przeciwnikiem germanizacyi, radby ją tylko prowadzić *w bardziej humanitarny sposób.*

— W numerze poprzednim zaznaczyliśmy, że *Warszawski Dniewnik* dość życzliwie ocenił artykuł p. Straszewicza w *Kraju* p. t. *Odwaga cywilna.* Prawie jednocześnie z powyższym artykułem rozpoczęła się w *Czasie* serya »*Listów z Warszawy*«, w których zabrzmiało to samo hasło, wprawdzie z odmienną nieco modulacyą, ale w zupełnie ten sam sposób nawołujące do rozpatrywania »bez namiętności i złudzeń« stanowiska naszego względem Rosyi. Wprawdzie drugi z tych listów, krytykujący rolę czynowników rosyjskich w Królestwie oraz dążności i taktykę *Warszawskiego Dniewnika*, niedość logicznie wiązał się z pierwszym, ostro potępiającym nieufność naszą do Rosyi i »brak odwagi« rzucenia się w jej objęcia — mimo to jednak oba te artykuły, w *Czasie* i *Kraju*, skłoniły znanego publicystę p. A. Mark-skiego do dopatrzenia się w nich znamiennego zwrotu wśród społeczeństwa polskiego i do rozpisania się o tem w bardzo obszernym artykule w Nr. 179 *Warsz. Dniewnika* p. t. »Znamiona czasu«.

P. A. Mark-skij skromnie wyznaje, że chce tylko zwrócić uwagę na ten fakt doniosły, że

„z dwóch przeciwległych końców, w dwóch wpływowych organach prasy polskiej prawie jednocześnie rozlega się skarga na brak odwagi, tyle niezbędnej do propagowania w społeczeństwie polskiem, nowych, rozsądnych idei“.

Jakie to są idee, wyjaśnia nam wstęp artykułu temi słowy:

„W chwili obecnej, gdy siła zewnętrzna i wewnętrzna Rosyi zaznaczyła się niebywałym blaskiem (czy na polu Chodyńskiem? Przyp. red.), niektórzy ludzie przodujący (?) w społeczeństwie polskiem, nabrawszy przekonania o niepokonanej potędze Rosyi, zaczynają publicznie wypowiadać myśl, że bądź co bądź lepiej i wygodniej iść ręka w rękę z tą Rosyą, wyrzekłszy się nieziszczalnych marzeń i na niczem nie opartych pretensyi do hegemonii w świecie słowiańskim“...

Autor z nadzwyczajną, jak na oficera »oddzielnego korpusu żandarmów«, erudycyą wylicza różnych odcieni działaczy polskich, jak apostatę ks. kanonika Domagalskiego, p. Walerego Przyborowskiego, redaktora krótkotrwałej »Chwili«, margrabiego Al. Wielopolskiego, Karola Mikoszewskiego, J. I. Kraszewskiego, nareszcie hr. Jana Zamojskiego, cytuje napisane przez nich broszury, powołuje się na ich dążności i działalność — dla wykazania, że idee ugodowe nie są nowością, lecz przytem nadmienia, że:

„wszyscy ci i wielu innych z pośród publicystów polskich, którzy pisali o pogodzeniu się z Rosyą, stawiali w tym celu warunki tego rodzaju, że one wyłączały wszelką możliwość urzeczywistnienia podniesionej kwestyi. W jedności z Rosyą widzieli oni nie cel ostateczny, lecz jedynie środek do zrealizowania tajemnie żywionych celów i chcieli narzucić ojczyźnie naszej (Rosyi) taką samą rolę, jaką w obecnej chwili zmuszona jest odgrywać Austrya, w której granicach idea jagiellońska boryka się z państwową ideą austryacką i biały orzeł jednogłowy pokazuje pazury orłowi rakuskiemu“.

Lecz ostatnie artykuły *Czasu* i *Kraju* a zapewne i cała wogóle działalność w duchu »primirenia« napawają p. Mark-skiego błogą nadzieją, że dzisiejsi ugodowcy nie okażą się tak twardymi w przeprowadzeniu porozumienia, jak ich ideowi poprzednicy, bo oto mówi:

„Lecz w czasach ostatnich, w sądach pewnych wybitnych publicystów polskich o „*primireniu*“ z ideą państwową rosyjską słychać *ton całkiem odmienny;* odczuwa się konieczność wyrzeczenia się dawnych uroszczeń, do których stawiania nie było dostatecznych podstaw, ani teraz, ani przedtem“.

Autor zachęca owych »wybitnych« publicystów do wyjścia na tę »jedynie słuszną« drogę, stara się natchnąć ich odwagą, namawia do propagowania tych idei pomiędzy ludem i tak rzecz swoją dalej prowadzi:

„Zadanie to w rzeczywistości upraszcza się i ułatwia znakomicie przez to, że lud polski nie przyjął od przodków tradycyi, z któremi obecnie tak trudno się rozstać uprzywilejowanym klasom społeczeństwa polskiego; tradycye te całkiem są obce ludowi, ponieważ Polska nigdy dla niego nie istniała, nie był on nigdy w niej wolnym i nigdy nie korzystał z praw obywatelskich. Na jego religią i narodowość nikt zamachów nie czyni, chociaż z boku chcą to wmówić w niego, a dobrobyt swój zawdzięcza on jedynie troskliwości rządu rosyjskiego i swej pracowitości. Chłop polski czuje wdzięczność dla władzy i czuje się spokojnym, dlatego zbytecznem jest troskać się o udoskonalenie jego sposobu myślenia i reformę jego poglądów i przekonań politycznych; nie należy tylko wprowadzać zaburzenia w to środowisko i zaszczepiać tam obcych dla niego idei politycznych, do czego tak skłonną się czuje obecnie inteligencya polska“.

Panu Mark-skiemu widocznie nie po myśli jest pewien dodatni zwrot, wśród naszej inteligencyi dający się zauważyć, i dlatego w dalszym ciągu decyduje, że:

„Natomiast tym niezbędniejszem, tym naglejszem jest postawienie kwestyi zwrócenia na prawdziwą drogę pewnej części inteligencyi polskiej, owiewanej namiętnościami politycznemi, uganiającej się za widmami, unoszonej falami burzliwego życia, jak wątłe czółenko, bez steru i żagli“.

Autor nakłada zaiste ciężki obowiązek na barki tych »wybitnych« publicystów, którzy mają rozpocząć propagandę haseł ugodowych na całej linii przy zmobilizowaniu wszystkich sił swoich.

„Oni — mówi autor przy końcu — poskromią szowinistów polskich, teroryzujących społeczeństwo, ośmieszą marzycieli niepoprawnych, przeniknętych ideą wszechpolską i nadziejami o odbudowaniu Polski niepodległej; przywołają do porządku braci swoich zakordonowych, naruszających spokojny bieg życia w kraju tutejszym (Królestwie), i tym sposobem przygotują grunt dla zbliżenia się z Rosyą i zapoznania się z nią i wskażą drogę, po której można przedostać się do jej serca i zawojować jej braterskie sympatye. Naród rosyjski jest wspaniałomyślny i prędko zapomina o uczynionych sobie krzywdach“.

Taki idylliczny obraz w przyszłości zapowiada nam p. A. Mark-skij, a do raju tego wprowadzić nas mają tacy pp. Straszewicze et cons. Zanim to nastąpi, p. A. Mark-skij niejednokrotnie jeszcze popisywać się będzie w łamach *Warsz. Dniewnika* stylowemi opracowaniami w tym rodzaju i erudycyą w kwestyi stosunków polsko-rosyjskich, których poprawa tak leży mu na sercu.

Z OBCEGO ŚWIATA.

= *Memoryał Armeńczyków.* Sprawa armeńska, od dłuższego już czasu niepokojąca świat cały i dostarczająca sporo kłopotów sferom dyplomatycznym wielkich mocarstw europejskich, jak wiadomo, w ostatnich tygodniach bardziej się jeszcze zaogniła. Jako przyczynek do niej podajemy memoryał, wystosowany przez tajny komitet rewolucyjny armeński do hr. Gołuchowskiego, austryackiego ministra spraw zagranicznych.

»Ekscelencyo! Cały świat polityczny, który oddawna wyczekiwał z pewnego rodzaju niecierpliwością wyjaśnienia z ust Waszej Ekscelencyi, jakie stanowisko zajmie rząd austryacki wobec kryzysu armeńskiego, był w swych nadziejach w najwyższym stopniu zadowolonym. Wasza Ekscelencya mówiła w delegacyach z otwartością godną uznania nie zaniedbując zalecić rządowi ottomańskiemu rozsądku i umiarkowania, by zapobiedz grożącemu mu niebezpieczeństwu. Jestto więc w każdym razie wielka przysługa oddana ludzkości, odwrócić zawikłanie, przy którem stały na karcie miliony ludzi i ich interesy. Nikt w świecie nie może pragnąć takiego nieszczęścia i naród armeński uważa się mimo doznanych przeciwności za szczęśliwy, że jego miano nie zostało użyte za pozór dla pożaru światowego. Skoro jednak wybuchowi wojny europejskiej zapobieżono szczęśliwie, czyż byłoby sprawiedliwem poświęcać cały naród, którego interesy Wasza Ekscelencya sam umiałeś ocenić i którego nieszczęśliwe położenie znalazło potwierdzenie ze strony Pańskiej?

»Gdy celem zapobieżenia konflagracyi nastąpiło porozumienie, to czy nie należałoby w granicach możliwości dla obrony narodu przed systematycznem prześladowaniem i niszczeniem znaleść jakieś wyjście? Byłoby to hańbą dla cywilizacyi naszego stulecia i dla postępu nauki politycznej, gdyby chciano trzymać się zdania, że męczeństwo całego narodu jest konieczne dla zapobieżenia rozlewu krwi w Europie. Skoro Ekscelencya masz u ludności wielką zasługę odwrócenia wojny europejskiej, to bezwątpienia rozpatrzysz i naszą kwestyę i znajdziesz środki skłonienia wysokiej Porty, by swych armeńskich poddanych nie pozbawiała dobrodziejstw sprawiedliwego i rozsądnego sposobu rządzenia. Armeńczycy pokładają w Waszej Ekscelencyi nadzieje rozwiązania kwestyi, gdyż bez tego jest dzieło niedokończone. Złe, chociaż zlokalizowane, nie jest usunięte, a ciągłe ciemiężenie Armeńczyków ze strony Porty może tylko rozdmuchać fanatyzm mahometański, wywołać nowe rozlewy krwi. Dzieje się to w imię sprawiedliwości i ludzkości, jeżeli apelujemy do szlachetnych uczuć Waszej Ekscelencyi i spodziewamy się, że Pan w uwzględnieniu stosunków przygotujesz nowe porozumienie się z gabinetami celem uzyskania pożądanej ugody«. Tu następują podpisy wszystkich pięciu członków komitetu.

OD REDAKCYI.

= *W sprawie ks. St. Stojałowskiego.* Ks. St. Stojałowski nadesłał nam pierwszą część odpowiedzi na zarzuty, wymierzone przeciw niemu w naszem piśmie. Odpowiedź ta nie zbija faktycznych zarzutów, ale jest polemiką programową, zawierając obszerny wykład poglądów autora na poruszane przez nas kwestye polityczne. Artykuł jego nie odpowiada ani rozmiarami, ani treścią warunkom, wyłuszczonym przez nas w liście do autora, zważywszy więc, że *Przegląd wszechpolski* jest pismem z określonym kierunkiem politycznym, że, jako taki, nie może dawać miejsca artykułom z tym kierunkiem niezgodnym, postanowiliśmy nadesłanej nam odpowiedzi ks. Stojałowskiego nie zamieszczać.

KRONIKA BIEŻĄCA.

= Wybory do sejmu śląskiego odbywać się będą w pierwszej połowie września. Ludność polska księstwa cieszyńskiego przygotowywa się jedynie do wyborów w kuryi mniejszych posiadłości (gminy wiejskiej), które naznaczono na d. 9 września. Posłowie narodowi w kuryi miast zapewne kandydować nie będą.

— *Berliner Tageblatt* podaje z wrzekomo pewnego źródła wiadomość, że hr. Szuwałow nie wróci ze swego sześciotygodniowego urlopu na zajmowane dotychczas stanowisko i że jego miejsce zajmie jenerał Kuropatkin. Wiadomość tę należy traktować ostrożnie.

= Rada miasta Lipska postanowiła nie asygnować w tym roku pieniędzy na obchod rocznicy sedańskiej i zamierza wogóle uroczystość tę jaknajbardziej ograniczyć. —

= Z Wiednia, Darmstadtu, Vichy i innych miejscowości, które car ma wkrótce odwiedzić, donoszą o nadzwyczajnych, nigdy tam niepraktykowanych obostrzeniach paszportowych.

= W d. 31. lipca r. b. na wzgórzu kleparowskiem we Lwowie odbyło się poświęcenie pomnika postawionego na cześć Teofila Wiśniowskiego, powieszonego na temże wzgórzu w 1847 r. razem z towarzyszem Józefem Kapuścińskim przez władze austryackie.

= „Kościuszko pod Racławicami" znany obraz sceniczny Anczyca, został poraz pierwszy odegrany na scenie ludowej we wsi Janowicach w okolicach Tarnowa. Gra amatorów, wyłącznie miejscowych włościan, zadowolniła w zupełności najwybredniejszych słuchaczy.

= W Nowym Jorku zacznie wychodzić dwa razy na miesiąc pierwsze pismo rosyjskie na ziemi amerykańskiej p. t. *prawosławnyj amerykańskij Wiestnik.* Będzie ono organem prawosławnej misyi amerykańskiej. Ważniejsze artykuły drukowane będą w 2 językach: rosyjskim i angielskim. Pierwszy numer okaże się z początkiem października.

= Farmerzy polscy w stanie Wisconsin St. Z. A. P. zawiązali tam pierwsze kółko rolnicze wzorem starego kraju.

= W Filadelfii zaczął wychodzić tygodnik *Orzeł Polski*, a w Nowym Jorku *Kuryer Nowyjorski i Brookliński.*

= Z powodu zbyt licznej emigracyi z Austryi do południowo-afrykańskiej rzeczypospolitej Transwaalu, rząd austryacki przestrzega, że wskutek wielkiej podaży rąk w tym kraju emigranci narażeni być mogą na wszelkie następstwa niedostatku.

= *Russkij Invalid*, organ ros. ministerstwa wojny ogłasza rozporządzenie o zmniejszeniu etatów i zmianie uposażenia duchowieństwa katolickiego w zarządzie wojennym. Liczba księży rzymsko-katolickich ograniczoną została do 13 dla wszystkich okręgów. Dla okręgu warszawskiego ustanowiono, jeden etat.

= Stronnictwa katolickie w Niemczech celem przeciwdziałania socyalizmowi mają rozpocząć na wielką skalę wydawnictwo ulotnych pism treści społecznej, z których część drukowana ma być w języku polskim ze względu na wielką liczbę robotników Polaków.

= W dniach 14, 15 i 16 b. m. odbywa się w Poznaniu Zlot sokołów polskich państwa niemieckiego przy udziale gości.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego. Wydawca i odpowiedzialny redaktor dr. Ernest Adam.